Wpisano do kontrolki periodyków
I Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
19 r.

W numerze m. in.:

Z. MYCIELSKI
M. JASTRUN
St. R. DOBROWOLSKI
St. WYGODZKI
J. KOTT
St. ŻÓŁKIEWSKI

KUŹNICA

Cena 25 zł – 8 stron Warszawa, 18 września 1949 r. Nr 37 (209) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Honor myślom, z których
[błyska
Nowy duch i forma nowa.

JULIUSZ SŁOWACKI

ALEKSANDER JACKIEWICZ

ŚWIATŁA KOPALNI „GRODZIEC"

Szczyt Dorotki wyłania się z mroku, jak sygnał budzącego się dnia. Niżej rysują się kominy i czarny szyb kopalni. Świt budzi rój ceglanych domów. Zieleń drzew, w ów sierpniowy poranek, jest wyblakła i brudna. Z nocnej zmiany ciągną górnicy, weterani kopalni, wiekowe wygi — w skórzanych kapeluszach lub w fibrowych hełmach na głowach. Twarze mają czarne. Chrzęst ich podkutych butów i brzęk karbidowych lampek — to pierwsze dźwięki grodzieckiego poranka. Mijają się z załogą zmiany dziennej, z młodymi szlamiarzami, ładowaczami, rębaczami.

Za górnikami, dążącymi do pracy, snuje się zapach kawy zbożowej i świeżo naładowanego do lampek karbidu, wygi z nocnej zmiany roztaczają dokoła swąd węgla i zbutwiałego drzewa — zapach podziemia.

Szyb na kopalni

Mijają się na ulicach osady, idących pochyło ku Dorotce, na drodze prowadzącej ku robotniczym domom Pekinu, pod sosnowym lasem na Boleradzu, na ścieżkach okolicznych pól.

POZIOM 300

W łaźni kopalnianej przebieram się w robocze ubranie: welwetowa kurtka i spodnie, gumowe buty, fibrowy hełm. Obok szykuje się do zjazdu nadsztygar Biskupski. Woła do łaziennego Gadaczka: — Pierunie, Jasiu, boso będę latał, czy jak? — Gadaczek dwoi się i troi, na zgiętych nogach biega po łaźni, dmucha w sumiaste wąsy — przynosi onuce. Śmieje się, komiczny i zafrasowany, zna zrzędzenie nadsztygara od 30 lat. — Zaś nadsztygar — mówi pomagając mu wciągnąć buty — to zaraz: Jasiu, Jasiu pierunie... Wszystko się zrobi, tylko nie trza zaś gwałtować. — Później, zbliżając się do mnie, wyjaśnia: — My to zawsze z sobą tak... koledzy!... — zawraca w miejscu, porządkuje ubrania innych sztygarów, którzy za chwilę będą szykować się do zjazdu. Mruczy: — Onuce, podarte onuce... Nastarcz im, każde podrą. Jak te ludzie tam na dole chodzą?!

Zdążamy pod szyb. Nadsztygar Biskupski, który w cywilnym ubraniu ma wygląd statecznego starszego pana, gdy poczuje na głowie górniczy hełm a w ręku sztygarski kilofek — prostuje się i odmładza. Po schodach, wiodących do lampiarni, wbiega szybko i zwinnie, jakby wraz z granatowym ubraniem i bambusową laską pozostawił w łaźni ze dwadzieścia lat. Bierzemy karbidki i przepychamy się między wozami sortowni. Panuje tu hałas: dzwonią sygnały przy klatkach szybowych, dudnią o szyny koła ładownych wózków, słychać głosy nawołujących się robotników. Znam ten zgiełk, słyszałem go codzień przez cały rok. Tylko wówczas do tych głosów dołączał się ostry krzyk niemieckich dozorców: „Rasch, rasch — arbeiten!".

— Szczęść Boże! — Sygnalizator wpuszcza nas do klatki. Zapalamy lampy. — Ile wozów, Stachu? — pyta na odjezdnym nadsztygar. — Trzydzieści dwa! — Sygnalizator pociąga za dzwonek. Klatka z szelestem opada w dół. Owiewa nas chłodne wilgotne powietrze podziemia. Lampy świecą białożółtym blaskiem. Twarz nadsztygara, pooraną zmarszczkami, srebrząca się siwym zarostem — uśmiecha się do mnie. Przed siedmiu laty pracowałem pod jego kierownictwem: od szlamiarza do młodego górnika. Patrzy na mnie życzliwie, jestem poniekąd człowiekiem dołu. Ciekawskich, nowicjuszy — nie lubi: zadają niemądre pytania, nie interesują się szczegółami jego obszernego gospodarstwa, które zna i kocha napewno więcej niż własny dom.

Klatka wciąż leci na dół, woda spływa nam po hełmach, kapie na ramiona, cieknie po ścianach szybu. Syczą lampy. Mijamy poziom 150, mignęły stare chodniki, zabudowane pokrytym pleśnią drzewem.

Nadsztygar mówi: — Wiele się, bracie zmieniło na dole od tamtych czasów. Pola „Karoliny" skurczyły się, przybliżyliśmy się z robotami do szybu, wybieramy resztki wysokich pokładów. Pamiętacie 48-ą, 54-ą... nie ma już nic z tego, skończone — w jego głosie słyszę żal. — Pamiętacie nasze filary, pierunie: 7 — 8 metrów wysokie — podnosi w górę rękę — było co brać, no nie?! Węgla jak lodu, strzeliłeś, panie, waliło jak z wora!

— No tak, ale jest jeszcze poziom 500...

Oczy nadsztygara ożywiły się: — Tak, bracie, poziom 500... ale nim tam się dobierzemy... Lata idą, kolego! — Nie lubi tych mijających lat, chciałby je zatrzymać, boi się starości, boi się rozstania z kopalnią.

— Pan ma jeszcze dużo sił, nowy pokład nie ucieknie — mówię.

— Nie ucieknie... — i nagle przechodzi na „ty": — Wierzysz że nie poślą mnie na emeryturę? Mam jeszcze dużo sił i kopalnię znam jak własną kieszeń.

— Trzeba nam ludzi, panie nadsztygarze, zły to kapitan, który starych marynarzy wyrzuca za burtę. — Uścisnął mi rękę, trochę niezgrabnie i z pośpiechem: — Dobrze mówisz!

Na podszybiu od siedmiu lat niewiele się zmieniło. Te same tory świecące jak złote nici w blasku żarówek, rozbiegające się w mroczne przewozowe. Ładowne wózki cisną się do klatki. Sygnały. Nadsztygar pochyla się nad wozem, bierze garść węgla, ogląda go przy lampie. Milczy. To oznacza, że wszystko w porządku. Gdyby zauważył kawałki kamienia pomieszane z węglem, zaczął by piorunować na całe podszybie i biegłby na filar z wielką soczystą oracją: że za Niemca trzeba było mieszać węgiel z kamieniem, ale nie teraz... Grodziecka kopalnia, to nie kamionka!

Idziemy w pierwsze pole. Przesuwamy się przez tamy powietrzne, przeciąg rozwiewa płomienie lamp. Poznaję znajome miejsca: tu siadywaliśmy z moim przyjacielem Zacierą i, czekając na wyjazd na powierzchnię, szeptem przebudowywaliśmy świat; tu natomiast przepychano wóz, w którym ukryto górnika Gwoździa, poszukiwanego przez gestapo; a tutaj doszła nas wiadomość, że zarabował się filar Kapelucha. Cienie umarłych wypełniają mi myśli: cień Zaciery, Gwoździa, sztygara Rojka, który rzucił Niemcom w twarz swoje: „Jeszcze Polska nie zginęła"! — starego Wysockiego, bojownika roku 1905, z jego nieodłączną fajką.

Rozlegają się głuche uderzenia. Biskupski, idący przodem, zatrzymuje się: — To strzela Rosa. Jak blisko szybu mamy filary! Mówiliście: poziom 500, bagatela — dwa latka. Niechby już ruszyło, tam jest węgiel, jak złoto — koksujący, uważacie, koksujący!

Wspinamy się po pochylni. Nadsztygar przeciska się pomiędzy stemplami. Słaby strop, dokoła wybrany węgiel, wydobycie idzie pomiędzy starymi filarami i chodnikami, trzeba gęsto budować. Zlewa mnie pot, odwykłem od kopalnianego powietrza, od zapachu pleśni, węglowego pyłu, swądu materiału wybuchowego. Zmiana ciśnienia zatyka mi uszy. Nadsztygar prześlizguje się wzdłuż koryt, mija stemple, szybko przebiega pod sączącą się z góry wodą. Podążam za nim, coraz wyżej i wyżej, gęstnieje dym po strzałach, przypomina mi się moje pierwsze polowanie i ostry zapach prochu. Już widać światło, słychać stłumione głosy.

— Szczęść Boże, chłopaki! Jak tam? — Górnik Rosa, którego pamiętam jeszcze z czasów okupacji, jeden z najlepszych rębaczy grodzieckiej kopalni, prowadzi nas do przodka. Kilkumetrowe stemple podpierają słaby pułap. Filar wygląda jak wielka sala z cienkimi białymi kolumienkami, o ścianach wylepionych czarnym, błyszczącym papierem. Każdy filar ma swoją odrębną indywidualność: niektóre są krzywe, ułomne, niskie, — inne wysokie, przestronne, regularne, — bywają też mokre i wąskie, jak piwnice, ze ścian i stropu płynie woda, — bywają wreszcie suche, gdzie pył przez całą dniówkę wisi w powietrzu, gdzie gorąco i gazy tamują oddech, tam nieraz po strzałach ukazuje się żywy ogień, który w krótkim czasie ogarnia ściany, stemple, czasem — ludzi.

Górnik Rosa oświetla lampą przodek filaru. — Ładnieś strzelił — chwali nadsztygar. Rębacz przełyka ślinę i patrzy na mnie. Gdyby Biskupski go zganił, ukryłby wzrok. Na filarze nie ma dyskusji, górnicy sami znają swoje błędy i sukcesy. Źle wywierciłeś dziury, za mało lub za dużo dałeś materiału do dziur, nie chciało ci się go kijem ubić — teraz zębami wygryzaj węgiel.

Rosa wchodzi na zwał, kilofem uderza w czarną ścianę, z jękiem walą się do jego nóg lśniące kęsy. — Możemy brać! — rzuca do ładowaczy. Zahuczał motor, poruszył się dotąd nieruchomy wąż żelaznych koryt, ciągnący się od przodka, pochylnią w dół, do wozów czekających na dole. Ładowacze splunęli w garść, rzucili pierwszy ładunek na koryta.

NA ŚCIANIE

W połowie dniówki spotkałem się na podszybiu z nadsztygarem Gregorczykiem. Jego również znam od dawna, podczas okupacji był dozorcą górniczym na mojej zmianie. Jest to człowiek nieduży, szczupły o wąskiej twarzy i uważnych oczach. Zawód górnika płynie mu we krwi, jego dziad i ojciec pracowali również na dole. Już przed wojną, jako wykwalifikowany górnik, człowiek obarczony rodziną — rozpoczął studia w szkole sztygarskiej w Dąbrowie. Dwanaście godzin na dobę spędzał w kopalni, sześć w szkole, resztę czasu poświęcał na dojazd do Dąbrowy rowerem, ponieważ jazda autobusem kosztowała za drogo. Sypiał trzy-cztery godziny. Po wojnie władze szkolne i kopalniane umożliwiły mu ukończenie studiów w skróconym terminie. Został nadsztygarem.

Opowiada mi te swoje dzieje, podczas gdy podążamy na niskie pokłady t. zw. „Andrzeje". Warstwa najcieńsza wynosi 70 cm., ludzie pracują tam na klęczkach albo w pozycji leżącej; warstwy grubsze wynoszą niewiele więcej ponad metr.

Wchodzimy do klatki ślepego szybiku, łączącego poszczególne pokłady. Sygnał. Jedziemy do góry, woda leje jak z cebra. Później wspinamy się po stromej pochylni. Jest duszno, strop coraz niższy. Idę zgięty, jak scyzoryk, zaczyna mnie boleć krzyż i kark. Niektóre przejścia pomiędzy gęstym stemplowaniem są tak wąskie, że ledwie mogę przez nie się przecisnąć. Gdy koryta, którymi spływa węgiel, zatrzymują się na chwilę — wchodzimy na nie i czołgamy się ku górze. Wspinaczka trwa kilkanaście minut. Do celu wędrówki dochodzę zlany potem, z trudem łapię w płuca rozrzedzone powietrze. Pracowałem na wysokich pokładach, ale miałem więc dość okazji aby wyspecjalizować się w umiejętnościach kreta.

Na ścianie praca idzie pełnym tempem. Tu, jak na żadnej innej robocie w kopalni, sprawne wydobycie węgla zależy od dobrej organizacji zespołów ludzkich i ich czynności. Trafiliśmy właśnie na moment, gdy wrębówka podcinała ścianę. Maszyna podobna jest trochę do czołgu bez wieży, przesuwa się na specjalnym bloku wzdłuż pokładu, borując u jego podstawy szparę szeroką na dwa palce, głębokości prawie dwóch metrów. Za nią idą górnicy wiertacze. Jest nisko, przesuwają się więc przeważnie na klęczkach — borując dziury do strzałów. Stemple, koryta, ciągnące się wzdłuż ściany utrudniają poruszanie się.

Siedzimy z nadsztygarem Gregorczykiem i sztygarem Turko, kierującym tutaj robotą, zgięci w kabłąk, na podkurczonych nogach. Pył węglowy, unoszący się z wrębówki oraz wiertarek, wywołuje łzawienie, drapie w gardle. Twarze pracujących górników lśnią, jakby je odciśnięto w ciemnym butelkowym szkle.

Po wiertaczach przychodzą górnicy strzałowi, zakładają w dziury materiał wybuchowy. — Uwaga! — podpalają karbidkami lonty. Chronimy się w wykutej opodal wnęce. Kilkanaście wybuchów wstrząsa ścianą. Dzwoni mi w uszach. Górnicy liczą... — Gotowe! — Gdy powracamy na miejsce, powietrze można nożem krajać, światło lamp przysnuwa się niebieskawym dymem. Węgiel, podcięty wrębówką, teraz poruszony strzałami, zwalił się jak mur zbombardowanego domu. „Blok" zabiera się do pracy. Składa się on z trzech ludzi: ładowaczy i budowaczy. Obliczają oni kubaturę odstrzelonego węgla i zgłaszają sztygarowi dzisiejszą normę wydobycia.

Organizacja czynności na ścianie polega na tym, że zarówno ludzie obsługujący wrębówkę, jak wiertacze, górnicy strzałowi i ładowacze muszą sobie wzajemnie ułatwiać pracę. Jeśli obsługa wrębówki zrobi nieprawidłową szparę, lub nie zabezpieczy jej przez wbicie kołków z drzewa, szpara zaciśnie się, i przy strzałach nie oberwie się dostateczna ilość węgla. To samo nastąpi, jeśli wiertacze porobią dziury w niewłaściwych miejscach lub wywiercą je niedbale. Wysokość zarobku wszystkich zatrudnionych na ścianie zależy od ilości węgla, załadowanego w ciągu dniówki do wozów.

Przesuwamy się wzdłuż pokładu na klęczkach, w miejscach zupełnie niskich czołgamy się. Obijam się o stemple, kapy, co chwila uderzam głową o strop. Miał węglowy sypie mi się na ramiona i za kołnierz. Bloki ładują, przynoszą drzewo, podbijają stemple. Za nami, przez łoskot ciągów, słychać jęk wrębówki i głuche strzały, niby stękanie podziemnego olbrzyma.

Obserwuję mijanych górników; robią szybko, spokojnie. Uderza mnie ich przyjacielska wzajemna współpraca. W ciasnocie nieraz potrącą się, nieraz jeden drugiemu zawadza — a przecież nie słychać kłótni, ani podniesionych głosów. — Franuś, dziecko, nastąp się!

Grupa górników z kopalni „Grodziec". Pośrodku autor reportażu (w jasnym kombinezonie). Zdjęcie z czasów okupacji.

Na filarze

„FLORA"

Kopalnia „Grodziec" nie jest tak zasobna w węgiel jak sąsiadujący z nią choćby „Jowisz". Norma „Grodźca" wynosi miesięcznie 1050 ton. Wysoki pokład tzw. „Karolina", na głębokości 300 m. pod ziemią, jest już, jak widzieliśmy, na wyczerpaniu. „Andrzeje", na tym poziomie i wyżej, też niedługo się skończą.

Lecz oto załoga kopalni od roku 1945 rozpoczęła wyścig z czasem o nowe źródło wydobycia, o tzw. „Florę", na poziomie 500 m. pod ziemią. Wstępne wiercenia wykazały, że tam znajduje się warstwa węgla koksującego, grubości około dwóch metrów, oraz niskie pokłady: uskok „Andrzejów".

Od czterech lat trwają roboty przygotowawcze dla eksploatacji „Flory". Szyb wyciągowy jest już gotowy. Obecnie prowadzi się w warstwie kamienia chodnik badawczy, z którego zacznie się wydobycie. Za dwa — trzy lata poziom 500 stanie się źródłem utrzymania kopalni, źródłem bogatym, którego zapasy wystarczą, według dotychczasowych obliczeń, najmniej na dwadzieścia lat.

„Flora" jest stałym tematem rozmów i dyskusji nie tylko w kierownictwie kopalni, ale i wśród załogi. Górnicy grodzieccy mówią o niej, jak się nieraz mówi o dalekiej, niewidzianej jeszcze, wytęsknionej dziewczynie: „Wysoka na 1 m. 80 cm, równa się, nie łamie jak te przeklęte Andrzeje. Morowa zaś Florka!"

Daleka jeszcze, jeszcze nie wzięta w posiadanie, a przecież życzliwa dla swoich górników — „Flora" kilka tygodni temu uratowała kopalnię przed zatopieniem.

Pewnego dnia, w pierwszych godzinach dniówki przedpołudniowej, sygnalizator na poziomie 300 zauważył, że z góry, szybem, zaczyna walić woda. Szyb zawsze jest mokry, zawsze z góry się sączy, ale tego ranka strumień znacznie się powiększył, niósł z sobą kawałki węgla i kamienia, stare spróchniałe drzewo.

Tę wiadomość zakomunikowano natychmiast nadsztygarowi Gregorczykowi, który właśnie obchodził roboty na wysokim pokładzie. Oto jego późniejsza relacja: „Zawróciłem ku szybowi. Oby tylko nie „kurzawa" — myślałem, pan wie: podskórna woda pomieszana z mułem, która chwyta człowieka za nogi i nie daje mu już uciec, aż go całkiem zaleje. Gdy zbliżałem się do podszybia, doszedł mnie okropny łoskot. Pod nogi wali mi woda, wskoczyłem na wóz stojący właśnie na przejazdowej, badam strumień, czy nie ujrzę mułu. Ale nie. Odetchnąłem. Biegnę dalej. Wody coraz więcej, na podszybiu dosięgła mi już do kolan. Ki diabeł! Z góry, z szybu rwie cała rzeka, klatka zalana, wozy stoją we wodzie...".

Pobiegł więc pod szyb drzewny. Tu też lało, ale mniej niż w szybie głównym. Rozesłał zatem łączników na wszystkie roboty, aby tych, którzy byli zatrudnieni na poziomie 300 i niżej ściągnięto do klatek drzewnych, innych zaś, z wyższych pokładów, skierowano ku drabinom umieszczonym na ścianach szybu i tędy ich wydano na wierzch.

Tak się też stało. Część załogi wychodziła drabinami, inni, po czterech, wyjeżdżali klatką.

Wody tymczasem przybywało. Pod głównym szybem sięgała już ludziom do piersi, pod drzewnym — do pasa. W komorze pomp pracowały wszystkie motory, ale nie zdążały likwidować przypływu. Wreszcie woda wdarła się do komory, zalała motory, główny kabel spalił się z hukiem. Pompy stanęły. Ostatni górnicy wyjechali właśnie na powierzchnię. Na dole pozostali: Gregorczyk, sztygar Turko, dozorca Dera, brygadier Kędzior i kilku innych. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie, wody wciąż przybywało, pompy stały. Kopalni groziło całkowite zalanie.

I oto ludziom pozostałym na dole przychodzi do głowy następująca myśl: spuścić wodę na poziom 500, w ten sposób uwolni się od niej wyższe poziomy. Ale rury wentylacyjne, łączące „Karolinę" z „Florą", sterczały na wysokość człowieka. Nim więc woda dosięgłaby ich wylotów, poziom 300 byłby zatopiony.

Wyjechano na powierzchnię, sprowadzono z warsztatów aparat do spawania, i spawacza. Znów opuszczono się pod ziemię.

„Był to moment ciężki — opowiada sztygar Turko. — Nie wiedzieliśmy przecież co się tam na dole w międzyczasie stało, może wody gwałtownie przybyło i klatka zatopi nas jak szczury. Maszynista szybowy opuszczał linę powoli, coraz się zatrzymywał. Wreszcie klatka zanurzyła się częściowo w wodę, stanęła. Maszynista dobrze wyliczył!".

Zabrano się do pracy, woda sięgała ludziom po szyję, spawacza ustawiono na jakichś belkach: ciął rury tlenem. Fala zalewała ogień, trzeba go było wciąż na nowo zapalać. Wreszcie jedna rura została ucięta. Gwałtowny strumień wdarł się w nią z szumem. Zabrano się do następnej. Kędzior, brygadier transportowy wcisnął się pomiędzy ścianę podszybia a uciętą rurę, i giął ją z całych sił, aby obniżyć jej wylot. Ucięto drugą, tuż nad powierzchnią wody, jak i poprzednią. Woda przestała się podnosić. Wtedy postanowiono włożyć w rury materiał wybuchowy i odstrzelić je przy samej ziemi. Tak też zrobiono. Woda zaczęła szybko opadać.

W ten sposób kilku ludzi z własnej inicjatywy, z narażeniem życia, nie dopuściło do przerwy w wydobyciu węgla na kopalni „Grodziec". Woda, która jak się później okazało, przyszła z poziomu 150, z jeziora, utworzonego skutkiem dopływu podziemnych strumieni, zalała wprawdzie poziom 500, ale to nie wpłynęło na produkcyjność kopalni. Z najniższego poziomu zostanie ona wypompowana w ciągu kilku tygodni, i roboty tamtejsze znowu ruszą.

CIEŃ BOLESŁAWA ZACIERY

Po południu wyjechałem na powierzchnię. Zieleń grodzieckich drzew, która z rana wydała mi się brudna i przygasła, teraz była zielenią najpiękniejszą. Światło dnia, błękit nieba — oślepiały oczy, nawykłe przez szereg godzin do mroków podziemia. Świat był przestronny, można się było na nim swobodnie poruszać bez obawy, że się kogoś potrąci, że się rozbije głowę o niebieski strop.

Po obiedzie udałem się do bliskiego lasu sosnowego, zwanego Boleradzem. Lubiłem to miejsce z dawnych czasów. Boleradz wznosi się na wzgórzu, z którego widać całą kopalnię, Dorotkę, żółte, jak na obrazkach van Gogh'a, urwisko Parciny, dymiące hałdy, place drzewne, od których ciepły wiatr niesie zapach żywicy i cierpki aromat brzóz, rosnących nad torem.

Myślałem o Bolku Zacierze, który w moich okupacyjnych przeżyciach połączył się na zawsze z grodziecką kopalnią. Poświęciłem mu w mojej górniczej powieści wiele serdecznych słów, ale jest ich przecież za mało, żeby uczcić tego wspaniałego człowieka, tego mądrego mądrością ludu — robotnika.

Zetknąłem się z nim na mojej pierwszej dniówce w grodzieckiej kopalni. Wykonywałem właśnie najpospolitszą robotę dołową: ładowałem do wozów szlam z podsadzki. Byłem zdziwiony, gdy ujrzałem obok siebie górnika. Górnika można poznać po skórzanym hełmie, kilofie i siekierze, przytroczonej do skórzanej torby. Szlamiarze nie noszą hełmów, nie potrzebne są im również siekiery ani kilofy.

Wysoki, lekko naprzód pochylony, ruchy miał elastyczne, było coś drapieżnego i jednocześnie chłopięcego w jego postaci. Twarz Zaciery, pozbawiona rumieńców, grubo ciosana, zdawała się być wykuta w twardym drzewie. Głos jego był łagodny, trochę śpiewny, takie głosy mają często wiejscy parobcy.

Gdy węgiel, skutkiem ciśnienia, tąpał w ścianach i stropie chodnika, podnosiłem wzrok na niego.

Uśmiechnął się, i w tym uśmiechu rysy jego ożywały.

— Pan pierwszy raz na dole? — spytał.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że górnicy lubią drwić z nowicjuszy, nie chciałem drwin. Tymczasem Zaciera wziął mi łopatę z ręki i powiedział: — W ten sposób pan sobie zedrze dłonie, trzeba objąć mocno styl i nie rzucać szlamu z siłą, bo pan sobie ramiona powyrywa. Trzeba tak...

Pracował za mnie. Starałem się odebrać mu łopatę. Nie dał: — Niech pan lepiej zachowa na później swoje siły, ja mam większą wprawę. — To „później" wymówił ze specjalnym naciskiem, zrozumiałem teraz dlaczego, jako górnik, poszedł do szlamu, chciał zachować „na później" swoje fachowe umiejętności.

Wreszcie odebrałem mu łopatę i zabrałem się do ładowania. Ale jego rady ułatwiły mi pracę. Gdy z czasem zostałem młodszym górnikiem, Gregorczyk przydzielał mnie często do przebudowy razem z Zacierą.

Poznałem jego historię. Pochodził z okolic Miechowa, ze wsi. W dzieciństwie pasał bydło, do szkoły nie chodził. Czytać i pisać nauczył się właściwie sam, kształcił się na książkach, które pożyczał od miejscowego nauczyciela. Gdy miał kilkanaście lat, poszedł do pracy fabrycznej, tam pierwszy raz zetknął się z zagadnieniem robotniczym, koledzy go często ściągali, jako zaufanego gościa, na tajne zebrania polityczne. Aż kiedyś wpadł wraz z innymi członkami zebrania w ręce policji. Osadzono go w więzieniu. Tam, obcując z wykształconymi działaczami rewolucyjnymi, dopełnił swego wykształcenia. Gdy, po roku, na rozprawie uniewinniono go, ponieważ nie było można mu udowodnić przynależności do partii — wyszedł na wolność jako zdeklarowany socjalista.

Po długich poszukiwaniach dostał robotę na grodzieckiej kopalni, w tych trudnych czasach, gdy górnicy pracowali co drugi—trzeci dzień. Na kilka lat przed wojną — załoga wybrała go swoim delegatem.

Wiele godzin spędziłem z Zacierą, na niekończących się rozmowach o ustroju, o losie robotników, o jego przyszłości i moich planach .Obiecywaliśmy sobie, że po wojnie utrzymamy naszą przyjaźń i wierzyliśmy obaj, że przyszła nasza współpraca wyda dobre owoce. Wtajemniczałem go w moje koncepcje pisarskie, dzięki niemu rozstrzygnąłem we własnym sumieniu wiele wątpliwości, które nurtowały moją bardzo młodą głowę. Wymienialiśmy między sobą książki, zdumiewało mnie jego poczucie prawdy. Ostudził wiele moich zapałów, gdy mi udowadniał, że ta czy inna „piękna powieść" — mija człowieka, że nie daje mu pomocnej ręki w walce o własne i innych szczęście. Jego słowa brzmiały inaczej niż w niniejszym streszczeniu, bardziej dosadnie i nie tak górnie, ale myśl jego była wysoka i sprawiedliwa. Zaciera, górnik, człowiek, który nie ukończył żadnej szkoły, nie ukończył ani jednego oddziału — zapoznał mnie z własną klasą, z jej walką, z jej gorzkimi klęskami i z jej wiarą, wiarą ludzką — w dobre siły naszego świata.

A działo się to w drugim roku okupacji, gdy na kopalnię zjechali niemieccy inżynierowie, sztygarzy i dozorcy, gdy w podziemiach żandarmerii, obok poczty, bito na śmierć naszych górników, bito ich na kopalni, wysyłano do obozów koncentracyjnych. Na jesieni 1942 r., już za drutami, dowiedziałem się, że Bolka Zacierę wzięto do Oświęcimia za działalność rewolucyjną. W kilka tygodni po tym przyszła wiadomość o jego śmierci.

Zapada sierpniowy mrok, od pochyłych pól grodzieckiej kotliny ciągnie zapach rozgrzanej za dnia ziemi. Czerwień zachodu pali się na smukłych kominach, roztapia się w długich, pochyłych smugach dymu. Zdążam w towarzystwie wicedyrektora grodzieckiej kopalni — Cesarza — wąską ulicą osady. Znam go z opowiadań Zaciery. Jego miał Bolek na myśli, gdy mówił mi kiedyś o swoim przyjacielu, który, ścigany przez gestapo, zjawia się pod różnymi nazwiskami na terenach zakładów przemysłowych Zagłębia, montując konspiracyjne komórki Armii Ludowej. — Bolek, był dla takich, jak ja, jedynym nieraz oparciem, w jego domu można było zawsze wypocząć, pożywić się, skontaktować się z innymi towarzyszami — słowa Cesarza mieszają się z rwącymi się głosami górniczych dzieci biegających po ogródkach. Teraz rozumiem dlaczego Zaciera, gdy go namawiałem, aby znikł na czas okupacji z Grodźca, bo przecież gestapo o nim sobie wreszcie przypomni, odparł krótko: „Nie mogę".

Doszliśmy do małego narożnego domku, o białych ścianach. Podnieśliśmy się po stromych schodkach. Cesarz zapukał.

Kuchnia była czysta i schludna, w drzwiach, prowadzących do pokoju, stała młoda dziewczyna w kwiecistej sukience.

— Mama w domu? — pyta Cesarz.

Poznaję w jej rysach twarz Bolka, złagodzoną, zabarwioną rumieńcem, poznaję ją po kolorze ciemno-kasztanowych włosów ojca. Wymieniam swoje nazwisko. Twarz dziewczyny zdradza wzruszenie: — Mamy pańską książkę o tatusiu — mówi. — Tatuś, dużo o panu opowiadał.

Po chwili zjawia się żona Zaciery. Znałem ją tylko z opowiadań. Młoda, drobna, o powierzchowności wieśniaczki. Witając się ze mną mówi:

— Bolek ucieszyłby się...

Siadamy przy stole nakrytym odświętnie białym obrusem. Wypytuję ją o jej obecne życie. Pracuje na kopalni, jako robotnica, kształci córkę. Gdy córa na chwilę wyszła do kuchni, matka szepcze: — Nie chciałam tego przy niej mówić: jest zdolna.

Wspominamy Bolka. — On mnie nauczył żyć — mówi młoda kobieta — otworzył mi oczy na wiele spraw. Po jego śmierci stwardłam, stałam się taką jaką mnie chciał mieć. Pragnął by dziecko zdobyło wiedzę, by tym służyło swoim ludziom... Jego jedyna dziewczyna!

Umawiamy się, że po maturze córa Bolka zjedzie do Warszawy, wstąpi na uniwersytet. Pragnie zostać lekarką.

Idziemy z Cesarzem przez noc, nad Jowiszem sypią się gwiazdy. W ulicach, na stokach okolicznych wzgórz — migocą światła lamp górników, ciągnących na nocną zmianę. Te światła są cieplejsze i bliższe sercu od tamtych — dalekich i nieuchwytnych.

Aleksander Jackiewicz

ZYGMUNT MYCIELSKI

O zadaniach Związku Kompozytorów Polskich *)

HISTORIA muzyki wskazuje na zbieżność dekadencji i odrodzeń sztuki z przemianami społeczno-politycznymi. Co więcej — widzimy jak w przełomowych czasach usiłowano teoretycznie podbudować czy to walącą się stylistyczną formę dotychczasowej sztuki, lub też znaleźć uzasadnienie dla nowego stylu, dla jakiejś, powstającej z konglomeratu nowego ze starym — ars nova — sztuki, przed którą nowe stanęły zadania.

Lecz patrząc z tego historycznego punktu widzenia na dzieje i losy muzyki nie znajdziemy jeszcze wystarczającej odpowiedzi na to, co się dzisiaj dzieje. Jasnym jest bowiem, że w momencie, w którym sztuka ma się zwracać i ma być tworzona dla całego narodu, analogie z przeszłością mogą być tylko nićmi przewodnimi, a nie wzorem jedynym.

Muzycy wiedzą, lub powinni wiedzieć, jak ściśle usiłowali już starożytni zdefiniować moralne i psychiczne działanie muzyki. Plato, Arystoteles i Arysoxenes — obok ścisłego określenia tego działania w odniesieniu do rozmaitych skal i gatunków muzyki, powstawali przeciwko nadużywaniu chromatycznych i enharmonicznych rodzajów, które uważali za manierę — może za coś, co byśmy dziś określili mianem pessymizmu. Tonacja lidyjska była potępiana przez Platona, zarezerwowana co najwyżej do muzyki wykonywanej w czasie uczt, tonacje dorycka i frygijska używane były do pieśni wojennych.

Grzegorz Pierwszy kodyfikuje w sposób surowy, a jednocześnie niezwykle zdecydowany z estetycznego i kościelnego punktu widzenia muzykę liturgiczną. W IX wieku ustala się forma muzyczna mszy, w roku 1564 powołana do tego celu przez Pawła IV Komisja walczy o czystość stylu, zakazuje używania melodii świeckich w kościele i zleca Palestrinie napisanie trzech mszy, które odpowiadałyby wszelkim wymogom soboru. „Missa Papae Marcelli" staje się wzorem nowej muzyki kościelnej. Lecz w ciągu tych wieków, ile bocznych dopływów, walk, obostrzeń, dekadencji! Trubadurzy i truwerzy, muzyka ludowa, diafonia i styl kontrapunktyczny, doprowadzany nieraz do istnych łamigłówek, wreszcie ówczesny realizm mistrzów z epoki Odrodzenia, jak pełna onomatopei, tworzona na cześć zwycięstw Franciszka I-go, słynna po dziś dzień „Bitwa pod Marignano" Jannequina, są przykładami zgodności zachodzącej pomiędzy zamówieniem, przeznaczeniem, a imaginacją twórczą kompozytora. W czasach rozkwitu nie ma rozbieżności. Gdy powstaje opera, zdobycze harmoniczne Monteverdego i dramatyczny wyraz jego muzyki wprowadzają znów nowe wartości do stylu, który zdawał się już wyczerpywać. Po wielkich postaciach Orlanda di Lasso, Vittorii, Josquin des Pres i Palestriny, Monteverde wprowadza nową formę, nowy język muzycznej ekspresji, która w stylu operowym z kolei przeradza się u Włochów z końca XVII wieku w cykl jednostajnych, mało ciekawych arii.

Można by całą historię muzyki ująć z punktu widzenia tego zamierania, degenerowania się jednego stylu i przechodzenia w inne formy — i zauważać za każdym razem, że dzieje się to wraz ze zmianą przeznaczenia, ze zmianą adresata, dla którego dana muzyka była tworzona.

Teatr antyczny, wierni uczęszczający do wielkich katedr gotyckich, możni z epoki Renesansu, dwory książęce i królewskie, wraz z ich bogatą, teatralną, dworską publicznością, wreszcie otwarcie dla mieszczaństwa sal koncertowych, romantyzm i pierwsze hasła rewolucyjne, zmiana stylu życia i potrzeb jaka nastąpiła w XIX wieku, wszystko wpływa na zmianę stylu muzycznego, który od XIX-go wieku popłynął trzema drogami, jeśli chodzi o użyty aparat muzyczny: kameralną, operową i instrumentalno-orkiestralną, wraz z rozwojem orkiestry symfonicznej i sali filharmonicznej, która jednocześnie stała się ramą dla występów wielkich wirtuozów-solistów.

Ten typ muzykowania wpłynął i na rozwój muzyki, na ustawiczne wzbogacanie jej środków harmonicznych i barwności zestawień instrumentalnych. Przez jakiś czas panował w operze weryzm, obok patetycznego wagneryzmu, na który spróbował zareagować w genialny zresztą sposób Debussy swym Pelleasem. Po krótkiej zaś epoce muzycznego impresjonizmu francuskiego nadeszły czasy coraz gwałtowniejszego poszukiwania nowości i oryginalności za wszelką cenę, co doprowadziło do skonstatowanego we wszystkich niemal dziedzinach sztuki, poważnego rozłamu pomiędzy twórcą i konsumentem.

Nowe zdobycze, wśród których nienajmniejszymi są osiągnięcia rytmiczno-metryczne, stworzyły język tak różnorodny, styl tak chaotyczno-liberalny, że trudno się dziwić konsumentowi, który nie będąc przygotowany na każdą niespodziankę, odwrócił się od muzyki współczesnej bez względu na wartość poszczególnych dzieł.

Najlepsze dzieła najzdolniejszych kompozytorów trafiają wprawdzie do odbiorcy, lecz dotychczas nie próbowali oni sformułować jakiejś wspólnej ideologiczno-fachowej platformy, która by się stała trwałym gruntem pod dalszą ich działalność i pod całokształt życia i rozwoju twórczości dzisiejszej.

Na całym świecie dał się odczuć w naszym wieku ten zamęt bezstylowy, chaotyczno-eklektyczny, pełen indywidualnych wysiłków, prowadzących do analitycznego indywidualizmu, w którym coraz częstsze są dziś zjawiska takie, jak rewizjonizm dotychczasowej postawy twórczej u Hindemitha, u Schoenberga podobno także, zwrot w twórczości Honeggera, a u nas ciekawa droga Szymanowskiego, wiodąca poprzez młodopolszczyznę, arabszczyznę i laboratoryjne, eksperymentalne „Metopy" — do Pieśni Kurpiowskich, mazurków, Harnasi, Stabat Mater i czwartej Symfonii.

Po Szymanowskim wstąpiło na arenę naszej twórczości muzycznej pokolenie, którego reprezentanci są tu częściowo obecni.

Z jakimż to bagażem artystyczno-ideowym zastało nas Wyzwolenie i pierwsze lata odbudowy naszego Kraju?

W tak zwanych „latach międzywojennych" naczelnym hasłem i dążeniem kompozytorów polskich było wydoskonalenie rzemiosła artystycznego. To zagadnienie techniczne, historycznie zresztą konieczne, było tak imperatywne, że przesłaniało inne, ideowe i życiowe przesłanki. A zresztą, cóż innego było wówczas możliwe? Pamiętamy wszyscy tragiczne położenie twórcy muzycznego. Owo tworzenie nie wiadomo dla kogo, nie wiadomo poco, nikomu nie potrzebne. Garstka słuchaczy w jednej Filharmonii, uczucie pustki i zawieszenia w próżni, o którym tak często mawiał Szymanowski — do dziś pamiętam jego słowa i smutną ich intonację, gdy idąc w 1936-ym roku, w roku paryskiej premiery „Harnasiów" przez Pola Elizejskie: „co wy ze sobą zrobicie? Jest Was kilku, a przecież dla mnie jednego nie ma właściwie miejsca w Polsce".

Jakiś mglisty ideał doskonałości, doskonałości dla doskonałości a więc czegoś pokrewnego hasłom sztuki dla sztuki — przyświecał najlepszym — lecz w rzeczywistości była to postawa ginącego świata, w którym ci najlepsi czuli się już niepotrzebni, wyrzuceni poza obieg istotnych potrzeb tego świata.

Były i wtedy próby upowszechnienia sztuki, działały Związki śpiewacze, działał „Ormuz", którego piękną tradycję wszyscy pamiętamy, lecz jakie te próby były nikłe, jakiego wymagały wysiłku, by pokonać atmosferę niewiary w powszechność tych celów, które dziś są naczelnym, zwycięskim celem i hasłem, na które odpowiedź muzyczna, jej forma, sposób i treść do nas należą.

Zanim powiem o dzisiejszym stanie naszej twórczości muzycznej, nadmienię jeszcze, że ten wysiłek kierowany w stronę rzemiosła, doskonalony w dużej mierze w Paryżu lat dwudziestych i trzydziestych, nastawiony na grupkę odbiorców — bywalców Filharmonii warszawskiej, nie mógł wówczas znaleźć odpowiedniego ujścia, musiał być zawieszony w próżni, w której najwyższym ideałem było wykonanie dzieła na zagranicznych estradach.

Dziś możemy rozprawiać o konieczności podniesienia poziomu wykonawczego, o brakach instrumentalistów, o sposobach penetracji muzyki, lecz cokolwiek byśmy tu nie omawiali wiemy, że wszystko to jest dążeniem zgodnym z celami polityki kulturalnej naszego Państwa i że sprawy te dyskutowane są tylko z punktu widzenia „jak" — a nie „dlaczego" czy „poco".

Mamy dziś, jako czteroletni tylko dorobek przeszło 300 pozycji wydawniczych w samym „Polskim Wydawnictwie Muzycznym", podczas gdy w ciągu całego międzywojennego okresu nie wiem, czy moglibyśmy ich naliczyć pięćdziesiąt. Mamy około 200 szkół muzycznych, 8 Filharmonii, 3 orkiestry symfoniczne i, po raz pierwszy w naszej historii, dążymy w dziedzinie muzycznej poprzez ruch amatorski, świetlice, zespoły chóralne i całą „politykę kulturalną" do podniesienia w rewolucyjny sposób przeciętnego poziomu świadomości kulturalnej w masach całego narodu. Najbardziej przyczyni się do tego ustanowienie obowiązkowych godzin solfeżu i śpiewu w szkołach ogólnokształcących. Postulat ten wysuwany jest na pierwsze miejsce na naszych Walnych Zebraniach, podobnie jak i na zebraniu Państwowej Muzycznej Rady Wydawniczej przy Polskim Wydawnictwie Muzycznym.

To przekazanie wartości muzycznych całemu narodowi stwarza warunki, które muszą wpłynąć decydująco na sam język muzyczny. Środki i sposoby jakimi się to ma odbywać, zależą w znacznej mierze od samych kompozytorów, od tego, w jakim stopniu przeżyją, pojmą oni i wzruszą się tymi zadaniami, które na nich ciążą; szczegółowe i naukowe ich sprecyzowanie powinno być najpilniejszym zadaniem naszych muzykologów.

Kolosalne potrzeby choćby jednej tylko instytucji, jaką jest Polskie Radio, sposoby jakimi przyciągniemy nowego słuchacza do sal koncertowych, szkolnictwo, ruch amatorski i świetlicowy są zadaniem, które w olbrzymi sposób przekracza znane nam dotychczas z dziejów muzycznych reformy, dyskusje i artystyczne walki. To już nie jakaś walka opery włoskiej i francuskiej, nie powolny przełom dokonujący się w ramach muzyki kościelnej, lecz rewolucyjny zwrot i rewizja, ciążąca na grupie tych samych przeważnie ludzi, których wychowały jeszcze czasy artystycznego chaosu i eklektyzmu — tak bliska jeszcze dla nas przeszłość.

Rzecz jasna, nie sposób tu analizować nasze muzyczne podwórze bez spojrzenia na świat, w którym analogie rzucają się w oczy.

Wszędzie podobne problemy w mniejszym lub większym stopniu zaistniały, a pierwszym najsilniejszym, najbardziej zdecydowanym i rewolucyjnym ich przejawem były tezy, wysunięte w Związku Radzieckim, mówiące o formaliźmie i realiźmie w muzyce.

Rzucone w chaotycznym i tak rozłożonym wewnętrznie momencie muzycznym, stały się one tak głośne, że powinniśmy się tu zastanowić nad związkami, które pomiędzy tymi tezami a naszym życiem muzycznym zachodzą.

Uważam bowiem, że w wyniku tych przemian, które już zaszły w artystycznej postawie wszystkich prawie kompozytorów polskich — warto poszukać cech ogólnych, znamion czasów, które na każdym polu znaczą swe piętno.

Jakikolwiek by nie był indywidualny stosunek poszczególnych twórców do tych tez i używanych terminów „formalizm — realizm", to — sądzę — jednego im nikt nie odmówi, że są one znamieniem i dążeniem do wniesienia jakiegoś ładu i dyscypliny do eklektycznego chaosu, w którym się pod pokrywką liberalizmu i artystycznej wolności sztuka współczesna znalazła.

Nie może nikogo dziwić, że w Związku Radzieckim, w kraju który w imię zwycięskiego socjalizmu przebudował cały swój ustrój, powstały hasła, których celem jest tworzenie sztuki dla wszystkich, sztuki związanej z ludem i wyrażającej wielkie zwycięstwo i wielkie przemiany obecne.

W związku z tym postanowiono oprzeć muzykę o cechy narodowe i wielką tradycję, którą dziś nazwać już można klasyczną, oprzeć ogólny charakter dzieł o charakterystyczne cechy motywiki ludowej, bez konieczności czerpania z tematyki folkloru in crudo, i na tym fundamencie tworzyć styl narodowy, odrębny, nie skażony kosmopolitycznym, eklektycznym, obcym duchowo pierwiastkiem sztuki burżuazyjnej, tworzonej dla nielicznej grupy snobistycznej publiczności koncertowej — zamiast dla masowego odbiorcy. W państwie socjalistycznym sztuka ma wzruszać i przemawiać do możliwie najszerszej masy odbiorców, używając języka, artystycznie jak najbardziej doskonałego, a przy tym nie szukającego niepotrzebnej komplikacji dla samego kunsztu, nie pokrywającej się z wewnętrznym przeżyciem artysty.

Mówić o komplikacji dla samego kunsztu kompozytorskiego, jest pojęciem, które muzycy znają od dawna. Istnieje kunszt wyrażający przeżycie i wzruszenie twórcy, istnieje zaś kunszt, rysunek, pozostający w strefie zimnej, rysunek dla rysunku, nie dbający już nawet o rezultat dźwiękowy, tracący sprzed oczu cel sztuki, którym ma być dążenie do transmitowania słuchaczowi artystycznego wzruszenia, z możliwie doskonałą precyzją. W rezultacie, jest może taka formalistyczna postawa czymś, co jest straceniem słuchacza sprzed oczu? Ileż to razy sam słyszałem modne w latach międzywojennych a w gruncie rzeczy błędne hasło, że nie należy dbać o odbiorcę, że pisze się dla siebie — i więcej, jakaś pogarda dla tego odbiorcy wyzierała z oświadczeń wielu modnych artystów i pismaków, którzy pojęcie sztuki łączyli z pojęciem jakiegoś hermetycznego mikrokosmosu, jakiejś główki od szpilki, podziwianej przez lupę przez parę osób, w rzeczywistości bardziej znudzonych niż zainteresowanych.

Jak ściśle określić można formalistyczne dzieło, przekonamy się może w wyniku dyskusji. Określić terminem muzycznym, co jest bez pokrycia, bez treści, niemożebne do odczucia i przeżycia przez odbiorcę, jest bardzo trudno. Nie sądzę też, byśmy tu mogli czy potrafili znaleźć czy ustalać choćby przykładowo tylko dzieła wykazujące czysty formalizm lub czysty realizm. Kompozytorowie nasi są w ostatnich czasach przykładem tak wielkich przemian, dzieła ich wykazują tak wielkie różnice w używanym języku muzycznym, że konieczna jest pewna perspektywa, żeby te tak świeże jeszcze przemiany klasyfikować.

Ustroje socjalistyczne przywiązują do sztuki olbrzymie znaczenie, wskazują jej cele najwyższe, czyli trafienie do serc i wrażliwości całego narodu oraz kształtowanie jego psychiki w sposób konstruktywny, optymistyczny i twórczy. Podołać tym zadaniom może być największą dumą i najwyższym celem każdego prawdziwego artysty. Nie można się godzić na jakąś dwutorowość, na lepszą i gorszą twórczość. Skoro mamy istniejące zamówienia radiowe, Domu Wojska Polskiego, słuchowiskowe, widowiskowe — to dzieła te powinny się okazać maksymalnym twórczym osiągnięciem kompozytora w każdym z powyższych gatunków. Nie wierzę by zamówienia na kwartety, suity czy kantaty były czymś lepszym dla muzyka w XVII czy XVIII wieku, niż dzisiejsze zamówienia.

Dziś istnieją też zamówienia konkretne i realne, które można wykonać tak jak to czynił Bach czy Haydn. Zamówienie Domu Wojska Polskiego, Polskiego Radia czy teatru, na słuchowisko, na ilustrację, na balet, czy tylko na krótki utwór do tańca artystycznego, stwarzają możliwości do powstania arcydzieł, będących muzyką użytkową, tak jak użytkowe były kantaty, suity i kwartety.

Rzeczą kompozytorów powinno być stworzenie tych form nowych, stworzenie ich w takiej artystycznej jakości, by świadczyły o poziomie sztuki epoki socjalizmu. Chciałbym kiedyś w osobnej pracy rozwinąć ten temat, tu nadmienię tylko ogólnie, że stare formy, których się jeszcze tak powszechnie trzymamy, formy muzyki koncertowej, z dostojną symfonią na czele, wydają mi się obiektem zabytkowym, czymś jak kareta czy dyliżans przy samochodzie czy samolocie.

Jeżeli dalej tym dyliżansem jeździć będziemy, to nie zwalajmy winy na zamawiającego, lecz szukajmy jej u siebie samych, wśród kompozytorów.

Zdaniem moim wystarczy usprawnić sprawę terminów zamówień, które są prawie zawsze zbyt krótkie tak w radio jak w teatrach i przy innych zamówieniach poza zamówieniami ZKP — oraz dojść do tego, by warunki zamówień pozwoliły kompozytorowi żyć z samej twórczości — lecz to jest kwestią już tylko czysto organizacyjną, którą z pewnością da się zorganizować i uzgodnić.

Jeżeli wnikniemy, celem jaśniejszego własnego postulowania, w ducha i istotę reform, które już przed wojną zainicjowane były w Związku Radzieckim a obecnie odbiły się tak głośnym echem na całym świecie, to widzimy, że chodzi tu o większe uwzględnienie form wokalnych, czyli o zacieśnienie rozluźnionych w ostatnich czasach związków muzyki ze słowem, czyli głosem — dalej, o rewizję stosunku muzyki do treści, do programu — o uproszczenie samego języka muzycznego w myśl — że sztuka tworzona jest dla adresata, dla odbiorcy, który ma z jej wartości korzystać — co nie znaczy, by język tej sztuki miał być prymitywizowany, czy obniżany. Zdobycze techniczne mają służyć ekspresji, a nie być celem — prostota jest, jak wiadomo, ideałem najwyższym, osiągalnym, przy doskonałości artystycznej przez największych twórców.

W swym słynnym przemówieniu o zagadnieniach muzyki radzieckiej Andrzej Żdanow w następujący sposób określił realizm i formalizm:

„Toczy się u nas ostra, chociaż od zewnątrz zamaskowana walka między dwoma kierunkami w muzyce radzieckiej. Jeden z nich — to zdrowy i postępowy nurt, opierający się na uznaniu ogromnej roli klasycznego dziedzictwa, a w szczególności tradycji rosyjskiej szkoły muzycznej, na skojarzeniu wysokiego poziomu ideowego i treściwości muzyki, jej szczerości i realizmu, głębokiego organicznego związku z narodem, jego muzyczną i pieśniarską twórczością — poziomu — któremu towarzyszy wysoki kunszt zawodowy.

Drugi kierunek wyraża się w obcym sowieckiej sztuce formaliźmie, w wyrzeczeniu się klasycznego dziedzictwa pod hasłem rzekomego nowatorstwa, w wyrzeczeniu się ludowości muzyki, w wyrzeczeniu się służby narodowi na rzecz obsługiwania głęboko indywidualistycznych przeżyć niewielkiej grupy estetycznych wybrańców".

Sformułowania te, których intencja jest dla każdego, przy minimum dobrej woli, zrozumiała, mają dziś we wszystkich krajach bardzo szerokie zastosowanie.

Dyskusje, które spowodowały one pomiędzy kompozytorami polskimi, czas już skierować na bardziej publiczne i, że tak powiem, oficjalne tory. Zbliża się czas, w którym zbierze się w Budapeszcie Międzynarodowy Kongres Muzyków Postępowych, i Związek Kompozytorów Polskich musi tam zabrać głos i zająć należne mu miejsce. Uczyni to dzięki temu, że w ciągu tych pięciu lat od wyzwolenia dokonał się u nas już bardzo poważny zwrot w psychice i podejściu do zagadnień twórczych.

Nastąpił już kolosalny postęp w ustosunkowaniu się kompozytorów naszych do zagadnień społecznych, do społecznej roli sztuki, jej celów i przeznaczenia, a — w następstwie tego — do jej form, używanych środków wyrazu, stosunku do muzyki ludowej i narodowego oblicza polskiej szkoły muzycznej, oraz głębokiego i doskonałego w środkach technicznych wyrazu, którym oddychać powinno dzieło sztuki, pretendujące do odzwierciadlenia przełomowych czasów obecnych. Nikt już nie głosi haseł „sztuki dla sztuki", czy jakiejś zamkniętej kapliczki, grona nie wiadomo już jakich wybrańców, pretendujących do monopolu na znawstwo. Lecz przeciwnie — kompozytor i muzyk polski utrzymać i rozwinąć pragnie inny monopol, monopol fachowości i wiedzy, który pozwoli mu na udział w kierownictwie sprawami związanymi z muzyką, pozwoli na możliwie najściślejsze określenie i zrealizowanie takiej sztuki, której wartości staną się ogólnym dobrem całego narodu, który po raz pierwszy w naszej historii otrzymuje dostęp do kulturalnych wartości.

Związek Kompozytorów Polskich pojmuje realizm muzyczny jako wyraz dążeń nurtujących społeczeństwo i stoi na stanowisku antyformalistycznym. Kompozytor nie jest oderwaną indywidualnością, lecz tym który sprawia, że za pośrednictwem artystycznego wyrazu muzycznego dzieło zawiera treść emocjonalną, zdolną poruszyć możliwie najszersze masy odbiorców. Kosmopolityczny język, jako obojętny wobec przejawów stylu narodowego zostaje odrzucony. Kompozytor ma tworzyć muzykę polską, przez co nie rozumie się mechanicznie zaczerpniętego cytatu z tematyki ludowej, lecz tworzenie muzyki, której kontur melodyjny, rytmika, forma, szata harmoniczna i ogólny nastrój nadają cechy pozwalające odróżnić dany utwór, jako przynależny lub rozwijający nadal w twórczy sposób charakterystyczne dla polskiej szkoły muzycznej elementy.

Pragnąc podnieść w rewolucyjny sposób średnią kulturalną najszerszych mas narodu, będącą dziedzictwem epoki minionej i sprawić by masy te stały się prawdziwym konsumentem sztuki, Związek Kompozytorów Polskich nakłada na swych członków szczególny obowiązek tworzenia dzieł, których możliwości wykonawcze i techniczne pozwolą na wprowadzenie ich do miejskich i wiejskich programów świetlicowych, chórów regionalnych, zespołów amatorskich, Samopomocy Chłopskiej, Związku Młodzieży Polskiej, Służby Polsce, wejście do programów orkiestr i chórów wojskowych. Tu nadmienić muszę, że nie ma dziś w Polsce kompozytora, który by przynajmniej jednego z tych gatunków już nie zaatakował.

Dążeniem Związku Kompozytorów Polskich jest również wpływ na stworzenie specjalistów od muzyki lekkiej, której brak tak bardzo daje się odczuwać. Nie mówiąc już o muzyce tanecznej, która poza naszym wspaniałym tańcem ludowym — jest czarną kartą w księdze naszej twórczości, brak nam ciągle współczesnej operetki polskiej, a twórczość operowa też zajmuje drugorzędne miejsce. Przystąpiono tu do generalnej rewizji tego stanu rzeczy, dokonano pierwszych zamówień, a bliższy kontakt z literatami pozwala żywić nadzieję, że przy odpowiednim zasileniu kompozytorów dobrymi librettami, stan ten ulegnie w najbliższej przyszłości gruntownej poprawie.

Również przystąpiono do zasilenia polskiego rynku wydawniczego literaturą pedagogiczną. Luki są tu ogromne, i tylko planowa wieloletnia akcja zamówieniowa wypełnić je może. Uwzględniać to będzie ustalany obecnie plan sześcioletni, kreślący najogólniejsze zarysy „polityki twórczej".

Twórczość symfoniczna, operowa czy kameralna, przeznaczona na estrady koncertowe, nie powinna być w umyśle kompozytora czymś różnym jako wartość, poziom i wysiłek artystyczny, lecz jedynie czymś, co w przeznaczeniu swym i użytych środkach technicznych odnosi się do wykonawców, artystów zawodowych; nurt polskiego życia artystycznego świadczy o tym, że ze wszystkich sztuk muzyka najdobitniej dotychczas świadczy o naszym kulturalnym istnieniu i najświetniej manifestuje na arenie światowej naszą żywotność i geniusz narodowy. Dlatego wszystkie wymienione tu formy powinny być uwzględniane równomiernie w hierarchii potrzeb i zamówień.

Wobec tak wielkich zadań, spadających na tak nieliczną stosunkowo grupę ludzi, koniecznym jest, by kompozytor polski mógł poświęcić CAŁY swój czas pracy twórczej. Stąd ustawiczna troska o to naszego Związku, stąd stały kontakt z Ministerstwem Kultury i Sztuki, poprzez które doznajemy opieki Państwa, a Zarząd Główny Związku, pozostając w ścisłym i codziennym kontakcie z wszystkimi swymi aktywnymi członkami jest wykonawcą, technicznym doradcą a nieraz i inspiratorem tego, co na polu muzycznej twórczości się dzieje — dbając o to, by działo się to, czego Państwo Ludowe najbardziej od kompozytorów oczekuje.

Zygmunt Mycielski

*) Z przemówienia na Zjeździe muzycznym w Łagowie Lubelskim 5.VIII 1949 r.

MIECZYSŁAW JASTRUN

Ariel w podróży*)

Jak napisać powieść biograficzną o Słowackim, o wielkim poecie, który pozostawił nam najpiękniejszą prozą napisany poemat swego życia w listach do matki? Jak przejść nie tylko obok tego wodospadu poezji, który z rozrzutnością godną natury błyska i szumi od wieku, ale również jak wyminąć tę jasną i czystą prozę listów? Jak ukazać Słowackiego — człowieka w codziennych jego sprawach? nie roniąc nic z jego wielkości? Bo to nieprawda, że Słowacki był małym człowiekiem, pysznym, próżnym i zawistnym, jak nam usiłowała wmówić plotka emigracyjna, później przejęta przez większość badaczy literatury. Bo to nieprawda, że człowiek, który tak pisał, mógł równocześnie żyć marnie. Bo nieprawda również, że dramat życia poety nie był silnie związany z dramatem narodu i epoki. Przeciwnie, Słowacki do czasu przejęcia się mistycyzmem i nawet w najjaśniejszych godzinach swego ostatniego okresu miał wzrok bystry i dalekowidzący. Można by księgę całą napisać o racjonalizmie tego poety, o jego zmyśle historycznym i o krytycyzmie wynoszącym go ponad współczesnych Polaków. On, który znał niebezpieczeństwa marzenia jak nikt inny, mimo że w końcu uległ swoim fantasmagoriom, czyż nie ostrzega nas dotąd strofami „Grobu Agamemnona", czyż nie porywa zdaniami „Testamentu", „Odpowiedzi na Psalmy Przyszłości", lub inwokacjami „Beniowskiego"?

O ileż razy mamy takie czucie
Poetyczności przyszłej! O jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
Przenosi za grób — ale jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciał zepsucie
I kości ziemia rozebrała brudna —
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu
Uderzy białe światło jak z posągu?

Pisać więc powieść o takim poecie, pokazać go w życiu potocznym, ale nie tak jak on siebie widział w księdze listów, która niekiedy zmienia się w księgę legend, ukazać go w kształcie ludzkim, ale tak, żeby za człowiekiem stał wielki cień poety, wydaje się rzeczą trudną ponad zwyczajną miarę. Chyba, że się ma ambicje małe i że się chce dać coś w rodzaju poczytnych i powierzchownych *vie romancée* w stylu Maurois lub Ludwiga. Wtedy sprawa jest prosta: poezja idzie swoją drogą, autor swoją, historia swoją. Paweł Hertz nie poszedł tą najłatwiejszą drogą. Pragnął ukazać Słowackiego na tle epoki, przywrócić zerwany przez jednostronne i cząstkowe ujęcia związek poety z życiem jego czasu. Ten cel osiągnął, zwłaszcza w opisie późniejszego okresu życia poety. Wtedy diariusz podróży i przygód Słowackiego zmienia się w opowieść o szerszym oddechu, silniej uderza rytm książki. Tak na przykład przedstawiany dotychczas raczej od strony rodzinnej epizod z roku 1848, kiedy Słowacki jedzie do Polski współdziałać z ruchem rewolucyjnym, znajduje w książce Hertza żywe i nowe oświetlenie. Mało znany wyjątek z pamiętnika Darowskiego, opisujący spotkanie ze Słowackim, przytoczony przez Hertza w odpowiednim kontekście zbliża na chwilę postać Słowackiego-człowieka z niezwykłą siłą i prawdą wyrazu, jak to się czasem udaje ludziom mało obytym z piórem, nie dbającym o „styl", który przecież ma nie tylko władzę wskrzeszania, lecz również częściej — zabijania. W opisie tym, podobnie jak w „bezstylowym" wspomnieniu Norwida o rozmowie ze Słowackim, widać poetę w jego codziennym sposobie bycia, w geście, w grze twarzy, w szczegółach zmiennych i płynnych, których nie odda żaden portret. Ale rysy te, anegdotycznie zanotowane przez współczesnych, dla których geniusz był jeszcze „panem Słowackim", „Juliuszem", nie dają pełnego portretu Juliusza Słowackiego. Hertz pokazuje mimochodem któryś z tych wizerunków dokumentarnych, nie poprzestaje na nich, pełnią one zaledwie rolę przypisów do „Portretu Słowackiego".

„Kolega podróży Juliusz Słowacki"
(Ze zbiorów L. Meyeta w Muzeum Narodowym w Warszawie)

Kto by się spodziewał, że portret ten mienił się będzie barwami poezji Słowackiego, zawiódłby się całkowicie. To co uderza od pierwszych stronic tej opowieści — to suchość relacji, oszczędność słowa. Nic z poetyczności, nic z patosu, który wydaje się nieodłączny od wszelkiego opisu życia i dzieła tego poety.

W ten sposób autor „Portretu" uniknął niebezpieczeństw, którym tak ufnie otworzył karty swej powieści Julian Wołoszynowski, autor pierwszej poetyckiej biografii Słowackiego.

Przecież nawet bardzo krytycznie nastawiony do Słowackiego, człowieka i poety, profesor Tretiak uległ był w końcu potędze liryzmu, „łunie przedzgonnej" autora „Króla ducha", podobnie jak Stanisław Witkiewicz złożył broń przed wizjonerstwem Matejki.

W tej niechęci do wielkich słów, w tym ciągłym tłumieniu głosu można właśnie dopatrywać się reakcji na nadmierny patos, z jakim Młoda Polska i jej spadkobiercy mówili o Słowackim. Ale zdaje się, jest w tym także i przede wszystkim program literacki autora „Portretu", jest jego własny temperament pisarski. Niepodobna bowiem uniknąć, kiedy maluje się czyjś portret, interwencji własnych rysów, swoich upodobań i swego charakteru. Wiedzieli o tym malarze dawnych czasów, gdy jeszcze umiano malować portrety — i wiedział o tym na pewno Szekspir.

Hertz należy do rzadkiego u nas typu pisarzy powściągliwych w wyrażaniu uczuć. Jego zamiłowanie do klasyczności jest tej ascezy intelektualnej zewnętrznym objawem. To co w Słowackim mogło mu być bliskie — dotyczy części tylko charakteru i dzieł wielkiego poety. Cały pierwszy okres życia i twórczości Juliusza mógłby w książce Hertza nosić tytuł: Ariel w podróży. O tej właśnie stronie życia i poezji Słowackiego pisze biograf najcieplej: o podróżach po różnych krajach świata i różnych krajach poezji. Ale Słowacki był nie tylko Arielem w podróży. Zdaje się, że byłby czas najwyższy na rewizję dotychczas najczęściej powtarzanych zarzutów w stosunku do Słowackiego. Może najobiektywniej przychylne stanowisko wobec Słowackiego-człowieka zajął był niegdyś w swojej monografii profesor Kleiner. Ale najmłodsi poloniści (Markiewicz), wracają do dawnej koncepcji Słowackiego — płaczliwego niedołęgi i snoba. A przecież ten chory, wątły człowiek przeszedł ogromną ewolucję w swym krótkim życiu. Wielbił

Juliusz Słowacki
Rysunek Teofila Januszewskiego, 1836

ruch postępowy dziejów, lecz spętany był zarówno swym słabym ciałem jak i szczególnie nieprzyjaznymi okolicznościami. Mickiewicz, podobnie jak inni emigranci, wygnany z ojczyzny, odnalazł ojczyznę na emigracji. Słowackiego odpychano wszędzie i ciągle, nie tylko z jego winy. Sądzę, że było błędem Towarzystwa Demokratycznego, jeśli nie potrafiło przyciągnąć poety. To jasne, że szlachcice zasiadający w Centralizacji, niewiele więcej rozumieli z jego poezji niż poczciwy Teofil Januszewski. Nie przeczuwali nawet, jak wielki stoi przed nimi poeta. Stała się wielka szkoda. Słowacki pozostawiony samemu sobie oddał się całą duszą mistycznym rojeniom. Ale miał jeszcze dość siły, aby napisać swoją „Odę do młodości" — „Odpowiedź na Psalmy" Krasińskiego, miał jeszcze dość siły, by podczas Wiosny Ludów zerwać się do działania. Zostawił puściznę ogromną. Czym byłaby poezja nasza bez niego?

Hertz w „Portrecie" daleki jest od sądzenia Słowackiego, ale jakiś odblask ujemnych opinii o Słowackim padł na jego książkę, stąd może to nadmierne podkreślanie „dandyzmu" Juliusza, jak gdyby poza światem glansowanych rękawiczek nie było wielkiej drogi poety, która poprzez piekło ówczesnej Europy i emigracji zawiodła go do nieśmiertelności. „Skruszył sobie zęby na białym marmurze sławy", żeby użyć obrazowego zwrotu poety, lecz spoczął w sarkofagu wawelskim obok Mickiewicza. Biograf poety ukazał nam tło dziejowe i obyczajowe, na którym przesuwa się Ariel w ziemskiej podróży, lecz prawdziwe życie poety nie zawsze w książce Hertza znajduje dość ostre oświetlenie. Słyszymy o akcjach kolei żelaznej, widzimy Juliusza z walizką podróżną, współczujemy jego niepowodzeniu w konkurach, ale sprawa przecież nie była tak prosta. Na przykład doświadczenie erotyczne poety. Ta ważna dziedzina życia zbyta jest w biografii ogólnikami. Można i tu dopatrzeć się wpływu dawnych studiów o Słowackim. Na podstawie dotychczasowych biografii łatwo jest ułożyć taki mniej więcej schemat miłosnych przygód Słowackiego: Poznał ją, znudziła go, postanowił szybko uwolnić się od ciążącego mu (oczywiście platonicznego) stosunku. Czasem musi uciekać, by pozbyć się nieznośnej dziewczyny. Wyjątek stanowi pani Bobrowa. Z jednej z plansz tej pięknie ilustrowanej książki patrzą przedziwnie oczy pani Joanny. Ta twarz Muzy romantycznej mówi więcej niż oschła relacja w tekście. Zapewne, w podanym wyżej żartobliwym schemacie jest coś z rzeczywistego stosunku Słowackiego do kobiet. Był nieśmiały, i nieśmiałość swoją maskował obojętnością lub gniewem. Nie był zdobywczy, i brak ten nadrabiał zdobywczą potęgą retoryki. Kapitalny szczegół, zanotowany przez Hertza, scena godna „Fantazego", gdy Słowacki deklamuje pani Bobrowej namiętny dialog z „Beatriks Cenci"! Ale to agresywne tempo wiersza, ten wspaniały impet poezji czyż nie jest wyrazem tłumionej w życiu namiętności?

I znowu paradoks. Największy niewątpliwie w Polsce poeta miłości, przynajmniej najbardziej wielostruny kochał kobiety tylko w nieśmiałym marzeniu?

Hertz nie odpowiedział nam na to pytanie, a Boy, znawca tych spraw sekretnych, nie zdążył zająć się życiem miłosnym Słowackiego. Oczywiście wdzięczny jestem Hertzowi, że nie poszedł śladami Hoesicka, lecz myślę, że portret poety zyskałby na pełni i żywości, gdyby autor „Sedanu", tak pięknie współczujący z ludźmi swych opowiadań, tu także w tym dziele o Słowackim powiedział nam całą swą prawdę o autorze „Beniowskiego".

Inna rzecz, że tego rodzaju pretensje do autora nie są w pełni uzasadnione. Nie można narzucać autorowi cudzej koncepcji.

W zakresie, zamierzonym przez siebie, dał Hertz niemal wszystko, co można o życiu Słowackiego powiedzieć.

Po monografiach, ujmujących postać Słowackiego jednostronnie i w oderwaniu od tła historycznego, otrzymaliśmy książkę, w której raz po raz natrafiamy na niezwykle trafne zdania formułujące stosunek poety do spraw jego współczesności. Oto jak ocenia Hertz stanowisko poety wobec kwestii chłopskiej:

„Słowacki ocenia... prawidłowo ekonomiczne skutki takiego nadziału ziemi, jaki zastosowano po zniesieniu pańszczyzny. To nic, że w dalszym ciągu, mówiąc o tychże parobkach rozwija Słowacki przed Teofilami obraz idylli patriarchalnej. Jego ocena sytuacji historycznej w sprawie agrarnej była instynktownie słuszna, podobnie jak słuszne było to, co pisał dalej, nauczony doświadczeniem powstań polskich i rewolucji europejskich: „we wszystkim chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić, trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczyzna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa Polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludu zyskała"...

Cóż za znakomita glossa do „Odpowiedzi na Psalmy Przyszłości". Jak po tych kilku zdaniach rozjaśnia się rzeczywiste stanowisko Słowackiego w sprawach społecznych, jak fałszem trącą wszystkie wizerunki, w których przedstawiono go jako poetę oderwanego od ziemi, a cóż dopiero od kwestyj agrarnych! Tymczasem — wyraźnie to odczytać można z wielu stronic „Portretu": ten Ariel był nie tylko wojażerem po krajach poezji i marzenia, ale umiał również podróżować w czasie historycznym, umiał myśleć dialektycznie.

Nareszcie w książce o Słowackim mamy rozsądną, krytyczną ocenę towianizmu, i walka poety z „mistrzem" ukazana została niewątpliwie w prawdziwym świetle. Odważnie również nie starał się Hertz ukryć swojej krytycznej oceny działalności Mickiewicza w okresie służby w kole towiańczyków, i w sporze Słowackiego z „wielkim Pierwszym" oddał Juliuszowi pełną sprawiedliwość.

Hertz umie być obiektywny, nie daje się ponosić uczuciom, stąd książka jego może się wydać beznamiętna, jest zaś tylko rzeczowa.

Ta powściągliwość uderza również w zwięzłych ocenach rozwoju sztuki poetyckiej Słowackiego:

...„utwory Juliusza coraz bardziej odbiegały od wszelkich norm. Ich ludowość nie była ludowa, ale bajeczna. Ich niezwykłość nie była romantyczna, ale iluminacyjna. Juliusz wyłamywał się z konwenansu... Ten nawrót do prostoty, nawet do pewnej surowości języka, nie był wcale wynikiem literackiej spekulacji, czy konceptu. Juliusz zwracał się w niedawną przeszłość historyczną kraju, gdy pisał „Księdza Marka", musiał wybierać między prostotą szlachty barskiej a oświeceniem francuskim arystokracji dworskiej. Ci pierwsi wydali mu się oświeceni przez Boga — walczyli przecież o wolności szlacheckie, które Juliusz uważał za wolności całego ludu i które, jak sądził wbrew historycznemu doświadczeniu, stałyby się ludu udziałem. Prostota i surowość wyrażenia miały również zbliżyć jego utwory do tego ludu, idealizowanego niemal u progu galicyjskiego powstania. Chłop polski wydawał się Juliuszowi istotą najbliższą, najbardziej gotową do przyjęcia ewangelii pomnożonej o zdobycze złotej wolności szlacheckiej".

Ta daleka od formalizmu, wyprowadzająca formę poety z materii życia narodowego analiza przemian artyzmu Słowackiego rzuca nowe światło na sztukę poety, mierzoną dotychczas przez dawnych polonistów ilością tęcz i kaskad, i odrywaną od podłoża, jak gdyby byt nie określał wyobraźni poety!

To jest nowe i płodne w książce Hertza— obok zalet stylu powściągliwego i swobodnego zarazem, aż do pozornej niedbałości. Dzięki tej szlachetnej prostocie czyta się „Portret Słowackiego" lekko, mimo że wiele jest w książce Hertza myśli, których ciężar gatunkowy nie pozwala przejść obok niej obojętnie.

Przy końcu powieści, Ariel znużony podróżą życia, ze złamanymi skrzydłami, umiera, dając ostatnie wskazania, dotyczące redakcji strof „Króla Ducha". Kończy się dramat życia jednego z największych naszych twórców. Nie kończy się dramat poety. I ten pozgonny dramat, w którym aktorami są dzieła Słowackiego i późniejsze pokolenia Polaków, zasługuje na książkę, równie rzetelną i piękną jak książka Pawła Hertza o życiu doczesnym wielkiego poety.

Mieczysław Jastrun

*) Paweł Hertz: Portret Słowackiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1949, str. 211, 4 nl + 16 ilustracji.

W OBRONIE POKOJU

We wszystkich krajach walki o postęp i socjalizm, dziesiąta rocznica wybuchu najstraszliwszej z wojen obchodzona była wielkimi manifestacjam na rzecz pokoju. Słowa wzywające do pokojowego współżycia narodów i walki o lepsze jutro człowieka były treścią radiowego przemówienia prezydenta Bieruta w dniu 1 września, w dziesięciolecie hitlerowskiego najazdu. Podobne słowa brzmiały też w przemówieniach tysięcy uczestników wielkiego połączeniowego Zjazdu Bojowników o Wolność i Demokrację, który w tymże pamiętnym dniu odbył się w Warszawie. Słowa tej samej treści słyszeliśmy w wypowiedziach, które doszły nas z Konferencji Pokoju w Moskwie. Odbiły się one tysiąckrotnym echem w naszym kraju, napełniły nas nadzieją i otuchą. Ich echo, świadczące o wspaniałych owocach odniesionego przez socjalizm zwycięstwa doszło nas także z miasta, które było kolebką faszyzmu, rozsadnikiem śmierci i zniszczenia. Wbrew wysiłkom imperialistycznych podżegaczy podczas potężnej manifestacji w radzieckim sektorze Berlina w dziesiątą rocznicę napaści hitlerowskiej na Polskę — zabrzmiały hasła pokoju i przyjaźni między narodami. Na zdjęciu: sala obrad Kongresu Bojowników o Wolność i Demokrację w Warszawie.

ALEKSANDER BŁOK

ROSJA

Znów jak w minionych latach złotych
Telepią się trzy stare szleje
I barwne szprychy grzęzną w błotach,
Rozbryzgujących się kolein.

Rosjo, żebracza moja Rosjo,
Twe szare chaty i zagrody,
Twe wiatry z pieśnią ich żałosną
Są mi jak łzy miłości młodej!

Żałować ciebie ja nie mogę,
I w trosce dźwigam krzyż surowej...
Oddaj zbójecką swą urodę
Jakiemubądź czarodziejowi.

Niech cię omami, ocygani, —
Nie zginiesz z ręki jego wrażej,
I tylko żal zasnuje mgłami
Przepiękne rysy twojej twarzy.

Cóż? Jeszcze jedną masz niedolę —
Nurt w jeszcze jedną łzę bogaty,
A ty ta sama — las i pole
I aż po brwi chusteczka w kwiaty...

I niemożliwe jest możliwe,
Najdalsza droga już nie męczy,
Gdy w polnej dali oczy żywe
Spod chusty rzucą błysk gorętszy,
Gdy pieśń woźnicy przeraźliwie
Więziennym, głuchym smutkiem dźwięczy.

18.10. 1908.

Przełożył: Włodzimierz Słobodnik

ALEKSANDER CZURKIN

OJCZYZNA

I znów szumi ulewa ukośna,
Walk niedawnych pył powoli opadł.
W paciorki,
W rosę,
W traw aksamit Rosja
Znów
się stroi jak kobieta młoda.

Niby gwardia w równym szyku zbrojnym
Wyciągnęły się lasy sine,
Cedry stoją pyszne i spokojne
Patrząc w nieba błękitną głębinę.
Pluszczą rzeki...
Śmiejąc się do słońca,
Gęste żyta ciągną się po zenit,
I od Czarnomorza do Ołońca
Morze zbóż rozdzwania się i pieni.

W ciebie patrzym —
synowie twoi,
Ziemio nasza,
słusznej dumy pełni,
Sława nigdy nie gasnąca dzwoni
Nad imieniem twoim nieśmiertelnym.

Nie przepłynę twoich mórz od razu.
Nie wyczerpię wszystkich twoich wód,
Zbyt wspaniały jezior twoich lazur,
Zbyt głęboki twoich głębi chłód.

Młode słońce twój obszar daleki,
Twoje pola oświeca i skały...
Nie, nie zmilknie,
Będzie lśnić przez wieki
Nie — gasnąca twa promienna chwała.

Przełożył: Jan Trzynadlowski

1946 r.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

WIECZÓR POD DREWNICĄ

Pamięci Janka Bidy

ZDALA, hen za wolskimi rogatkami — gdzieś nad prawosławnym cmentarzem rozlewał się jask. .vy, czerwony blask zstępującego po nieboskłonie słońca — i w tym krwawym pożarze wędrującej łowicką szosą rozjarzonej głowni niknęły powoli z oczu odległe zarysy miasta za Wisłą, kontury smukłych wież kościoła Zbawiciela, Św. Krzyża, Wszystkich Świętych, wyniosła sylweta „Prudentialu", zygmuntowska kolumna i katedralne mury.

— To bida, to bida, oj, to, to, to,
to bida, to bida, niedola...

- stukotały rytmicznie koła po szynach, podpowiadając słowa starej żołnierskiej piosenki. Od rozciągających się wokół szeroko warzywnych ogrodów, uprawnych pól, soczystej zieleni łąk i daleko na horyzoncie czerniejącego lasu płynął orzeźwiający, zmieszany zapach wilgotnej ziemi, nagrzanego słońcem rumianku, kaczeńców i żywicy. W powietrzu wesoło dzwoniły owady. Kolorowe motyle leciutko unosiły się nad przydrożnymi rowami i swawolny wietrzyk-hultaj od czasu do czasu porywał je wraz z obłoczkami złocistego pyłu z nad kwiatów i niósł wysoko w górę, ponad głowy idących ścieżkami strojnych dziewcząt w wielobarwnych, kwiecistych chustkach związanych w grube supły u szyi.

Była niedziela — i dlatego pewnie świat wydawał się jakiś bardziej radosny niż zawsze. Świergot ptaków — skoczniejszy, bicie serca — swobodniejsze, lżejsze.

Janek stał na przednim pomoście wagonu, gdzie ścisk nie był tak nieznośny jak na tylnym. Lewą ręką trzymał się poręczy u wejścia i — swobodnie wychylony nad stopniami — spod przymrużonych powiek patrzył w niknący obraz miasta.

— To bida, to bida — pogwizdywał wesoło. Od czasu do czasu odrywał znużony blaskiem wzrok od dalekich wież kościoła Świętego Krzyża, od złocącej się w słońcu karmelickiej bani, od zabawnych, cebulastych kopuł praskiej cerkwi i obojętnym z pozoru spojrzeniem sprawdzał harmonijny układ fałd swojego obszernego, dokładnie — na ostatni, jak się to mówi, guzik — zapiętego płaszcza. Nie znajdując nic osobliwego w szczegółach eleganckiego nakrycia, spokojnie powracał do ulubionej snać obserwacji roziskrzonego w oddali zarysu dachów i wieżyc usuwającego się w cień ogrodów miasta — i tylko ledwie dostrzegalny, przelotny uśmieszek na króciutką chwilę siadał nad kącikami chłopięcych warg.

Kolejka, skacząc ze stukotem po wąskich szynach, biegła dalej śród podmiejskich pól falującego żyta i ubogich ogródków, co raz to zatrzymując się na przystankach. Co raz to ktoś wysiadał teraz — i na pomoście pozostało już wkrótce, prócz poważnego młodzieńczyka, tylko trzech, równie prawie jak i on młodych ludzi — podoficerów „Luftwaffe". Obraz oddalającego się wciąż miasta, tak fascynujący dotąd chłopca, zatarł się prawie już zupełnie, roztopił w złotych smugach zachodu i jedynie tylko dumny kontur „drapacza" z Placu Napoleona sterczał jeszcze wyniośle nad mierzchnącym w oczach, ciemnym teraz zarysem budowli nad Wisłą. Chłopiec cofnął się więc w głąb pomostu i z kolei jął się rozglądać po twarzach i mundurach swoich przypadkowych współpasażerów, po nic nieznaczących drobiazgach technicznej konstrukcji wagonu, po napisach na tabliczkach umieszczonych obok drzwi wejściowych na pomost...

„Nur für Deutsche" — odczytał najzupełniej obojętnie i znów przeniósł wzrok gdzie indziej — na przesuwający się obok podwarszawski pejzaż haftowanych jaskrami łąk, szerokich, wodnych rozlewisk umajonych młodym tatarakiem, na jałowe wydmuchy, smutne piaseczki pokryte rzadkim żytem.

— Oj, to bida, to bida, oj, to, to, to,
oj, to bida, niedola...

— zastukotało nagle po szynach. Chłopak ni z tego, ni z owego podchwycił tę melodię kół i, nie wiedzieć czemu, niespodziewanie roześmiał się szeroko, głośno, tak głośno, że aż sam drgnął gwałtownie, jak gdyby zaskoczony tym wybuchem własnej wesołości. Niemieccy lotnicy, zajęci do tej pory ożywioną między sobą rozmową, przerwali raptownie swoją gardłową, charchotliwą paplaninę i wszyscy naraz skierowali zdziwione, ciekawe spojrzenia na samotnego wesołka. Chłopiec ani drgnął, nie speszył się. Przymrużył lekko kocie, drapieżne źrenice i, opanowany — niby to nic, obojętnie oparł się wzrokiem o napis „Nur für Deutsche". Tylko zawieszony na piersiach pod płaszczem automatyczny pistolet począł go uciskać bardziej niż dotąd...

— Jeszcze godzina jazdy... Trzeba być ostrożniejszym! — przemknęło pod jasną, zwichrzoną czupryną spadającą na czoło.

Tymczasem ci z „Luftwaffe" zajęli się znów swoją rozmową. Znów melodyjnie zastukotały koła na szynach i lekki podmuch przyniósł przedwieczorny zapach skoszonej trawy. Powiało chłodem — i chłopiec machinalnie obciągnął na sobie jasny, wytworny płaszcz. W tej samej chwili jeden z podoficerów na pomoście obrzucił nagłym, zupełnie przypadkowym spojrzeniem młodego eleganta. Chłopiec poczuł, że naprzekór usiłowaniom zachowania najobojętniejszego wyrazu twarzy gorąca fala krwi napływa mu do policzków. Schwyciwszy się na tym całkiem niemęskim odruchu, przygryzł leciutko dolną wargę i z zażenowaniem jął przestępować z nogi na nogę.

Na szczęście pociąg stanął i lotnicy ruszyli do wyjścia — rozglądać się po stacyjce.

— Teraz pewnie wysiądą — zaświeciła mirażem bezpieczeństwa zaniepokojona myśl.

Nie wysiedli jednak. Kolejka z chrzęstem, stukotem, świstem i sapaniem miniaturowej, śmiesznej lokomotywy-samowarku ruszyła dalej. Chłopiec nie mógł o tym wiedzieć: niemieccy podoficerowie jechali aż do lotniczych koszar w Drewnicy.

— Trzeba się trzymać! — rzucił sobie w myśli. — Mamy zadanie do wykonania i musimy je wykonać bezbłędnie...

Miał dopiero siedemnaście lat — nawet coś mu tam brakowało do tych siedemnastu. Z tym większą przeto powagą traktował swoje żołnierskie obowiązki, powierzone mu zadania. Nie był zresztą mimo młodocianego wieku nowicjuszem — nie pierwszy to już raz wypadało mu iść „na robotę". Był poza tym dowódcą oddziału. Czuł ciążącą na sobie odpowiedzialność nie tylko za powodzenie „akcji", ale i za pozostałych ośmiu towarzyszy, jak i on młodziutkich, jak i on na życie i śmierć oddanych sprawie wolności — towarzyszy, którzy rozproszeni po wagonach tego samego pociągu z gwałtownym, nerwowym biciem serc liczyli właśnie minuty dzielące ich od celu śmiałej, ryzykanckiej wyprawy. Zwm — zwm — zwm! — koła pociągu dzwoniły im teraz w uszach coraz to szybciej, coraz to niecierpliwiej... Przed młodymi oczami przesuwały się coraz to nowe, coraz to inne obrazy podmiejskich domostw i osiedli, wiśniowych sadów i jałowcowych zagajów, ubożuchnych poletek żyta, jęczmienia, owsa, jałowych wygonów i karłowatych sosenek na piaszczystych, mazowieckich wydmach...

— Oj, to bida, oj, to, to, to,
oj, to bida, niedola,
oj, to bida, oj, to, to, to,
oj, to bida, niedola!...

Gwizdał wiatr w gałęziach smuklejących to tu, to tam topól. Kudłate, rozczochrane wierzby kładły coraz to dłuższe, granatowe cienie w poprzek głębokich kolein, wyżłobionych w siwym pyle dróg. Daleka smuga lasu, do której szybko przybliżał się pociąg nabierała teraz jakichś tajemniczych, niebieskich i złotawych odcieni — coraz to rosła, olbrzymiała w potężną ścianę.

Za tą ścianą był cel ich drogi: ona to wespół z mrokiem nocy miała osłonić ich odważny zamysł zaatakowania niemieckiego kolejowego transportu z bronią, amunicją i wojskiem przeznaczonymi dla wsparcia walącej się na Wschodzie militarnej potęgi Trzeciej Rzeszy. Ich zadaniem, zadaniem warszawskich dzieci — nieustraszonych żołnierzy Polski Ludowej, było udaremnić zadanie wroga, nie dopuścić, by choć jeden żołdak Hitlera, by choć jeden pocisk z „General-Gouvernement" przedostał się za Bug.

Toteż surowymi spojrzeniami wpatrywali się w ten las i w ostatnie krwawe, przedwieczorne blaski odchodzącego słońca, wróżące bliską noc — sojuszniczę partyzantów.

Właśnie jeden z chłopaków sięgnął do kieszonki po wielki, staroświecki zegarek, uwieszony na grubej, ojcowskiej — widać — dewizce i z generalską iście powagą jął wpatrywać się w „cyferblat" potężnego czasomierza, kiedy w tej samej sekundzie raptem nastąpiło coś najzupełniej nieoczekiwanego: kolejka, z sapaniem i łoskotem żwawo dotąd pędząca przed siebie, gwałtownie poczęła zmniejszać szybkość — tak, że wszyscy stojący na pomostach pasażerowie nagle potoczyli się do przodu, a siedzący wewnątrz wagonów z krzykiem przerażenia rzucili się sobie w otwarte ramiona...

— O, do diabła! — wrzasnął szczęśliwy posiadacz osobliwego chronometru, patrząc, jak szkiełko muzealnej „cebuli" rozpryskuje mu się z trzaskiem w ręku — i chwyciwszy się poręczy u wejścia wychylił się z wagonu.

Jeszcze nic nie mogli pojąć. Przeraźliwy gwizd lokomotywy wiercił w uszach i ogłuszał. Pociąg ze zgrzytem hamulców, z hukiem buforów zwalniał bieg. Ponad tym wszystkim wszelako, ponad piekielnym rumorem uderzających o siebie wagonów, dzwonieniem rozluźnionych łańcuchów górował zmieszany wrzask dolatujący gdzieś z tyłu — od ostatnich pomostów pociągu. Wreszcie dobiegł ich suchy trzask wystrzałów — jednego, drugiego, trzeciego. Najpierw — pojedyńczych, potem — całych serii...

Pociąg stanął.

Teraz dopiero z chóralnego wrzasku podnieconych głosów jęli z trudem wyłuskiwać poszczególne, zrozumiałe słowa:

— Halt!... halt!... Hände hoch! Hände hoch!... hoch!...

Rzucili się natychmiast do drzwi, do okien — i oczom ich przedstawił się okrutny, ścinający krew w żyłach widok: smukły chłopak o płowej, szczeciniastej czuprynie, w rozwianym szeroko, jasnym płaszczu gnał długimi, zajęczymi susami przez żytnie, sfalowane wietrzykiem zagony, a za nim — niczym sfora chartów — pędzili z ujadaniem ci z „Luftwaffe".

— Halt!... halt!... Hände hoch!! — ścigało osaczonego chłopca. Coraz to nowi, coraz to nowi umundurowani szczwacze, skacząc ze stopni wagonów, zachęcając się dzikimi, chrapliwymi okrzykami, zaciekle — z pistoletami i granatami w garściach — rzucali się w pogoń za uciekającym.

Chłopiec umykał w łan żytni — prosto, bez wytchnienia, nie oglądając się zrazu za siebie, jak gdyby nie zwracając wcale uwagi na świstające mu natrętnie koło uszu pociski. Zdawać się mogło, że zawierzył wszystko śmigłości długich, smukłych nóg — im tylko zaufał.

Jeszcze jeden skok. Jeszcze jeden.

O paręset metrów przed nim w ostatnich, dogasających blaskach zachodu czerniał niski żywopłot, jakieś krzewy i drzewa rozległego ogrodu, lśniły czerwono-złote odblaski w szybach ukrytego śród drzew budynku...

— Byle jak najdalej!... Byle jak najdalej od tamtych!... Byle tylko dopaść tych krzewów!... — zaciskał z wysiłkiem szczęki.

Wtem obserwujący z zapartym oddechem śmiertelną gonitwę pasażerowie kolejki drgnęli jak rażeni elektrycznym prądem — i z wszystkich jednocześnie piersi wydarło się głuche, stłumione: — aaaach!... Chłopiec się potknął.

Byli pewni, że upadnie — jednak nie upadł. Jeszcze przebiegł, klucząc teraz i utykając z lekka na prawą nogę, kilka kroków — i naraz odwrócił się błyskawicznie, kierując lufę automatu na swoich prześladowców — groźny.

— Janek!... — wyskoczyło i pobiegło za ściganym z któregoś wagonu. I zaraz potem czyjaś ciężka, szeroko rozwarta, opanowana dłoń spokojnie położyła się na ustach młodego, niezdyscyplinowanego bojowca. W tej samej chwili suchy, jazgotliwy trzask „MP" zgłuszył bolesne echo chłopięcego krzyku. Jeszcze jedna seria — znacznie krótsza. Potem długa długa — zdawałoby się — w nieskończoność przedłużająca się cisza. I znów jakiś krzyk. Potem jęk padającego twarzą w piasek niemieckiego podoficera.

Wszystko to stało się tak nieoczekiwanie, przebiegło tak gwałtownie, że nikt z przytomnych zajściu nie uwierzyłby, iż razem nie działo się dłużej niż trzy minuty.

Pierwszy poznał uciekającego i z grubsza zorientował się w sytuacji jeden z chłopców — ten, któremu stłukło się szkiełko w zegarku, i to on chciał natychmiast biec Jankowi z pomocą. Gdyby nie zimna krew któregoś ze stojących obok pasażerów, byliby się zdekonspirowali — i licho wie, co by z tego wynikło. Niemców była niemała kupa, a ich tylko ośmiu. Tak czy inaczej, diabli by wszystko wzięli. Tymczasem czekało ich przecież ciężkie i odpowiedzialne zadanie, czekała ich „akcja" — i nie mieli prawa bez rozkazu mieszać się w przypadkową awanturę, której wynik nie był zresztą jeszcze przesądzony...

Stali pod ścianą jednego z wagonów zbici teraz w gromadkę, z rękoma w kieszeniach, dusząc w garściach zimne jaja granatów i zaciskając pięści na kolbach rewolwerów — rozdzierani sprzecznymi uczuciami, sztywni i bladzi, drętwiejący z bólu.

Tymczasem Niemcy, poukrywani w rowach i bruzdach, spostrzegłszy już, że uciekający nie będzie dla nich łatwym łupem, zdecydowali się przystąpić do regularnego natarcia i pojedyńczo, rzadkimi skokami jęli się posuwać za chłopcem, który przetem już przypadł piersiami do ziemi w głębokiej gdzieś nierówności gruntu.

Widać było, że młody partyzancki dowódca zdążył był ochłonąć z pierwszych, oszałamiających wrażeń wywołanych niespodziewaną przygodą i teraz już całkiem na zimno gotów jest rozgrywać niełatwą partię z przeważającym liczebnie przeciwnikiem.

Jego oddziałek otrzymał przecież rozkaz przeprowadzenia poważnej akcji dywersyjnej i on sam, osobiście, jest odpowiedzialny za właściwe wykonanie powierzonego im zadania. Jeśli tedy chłopiec, w tej chwili, naprawdę drżał przed czymkolwiek, to tylko przed tym, aby jego podkomendni — pozostawieni sami sobie, postawieni wobec tak skomplikowanej i trudnej sytuacji — nie przyszli mu z pomocą, w imię dobrego koleżeństwa nie wmieszali się do tej przez niego samego zawinionej, przez jego własną spowodowanej nieprzezorność, nikomu na nic niepotrzebnej hecy. Deskę ratunku przed tym jedynym w tej chwili konkretnie odczuwanym dla siebie niebezpieczeństwem widział tylko w możliwie najszybszym oddaleniu się od tego fatalnego miejsca, gdzie stali jego towarzysze, zawsze gotowi do szalonej choćby próby zaatakowania pełzających za nim tych z „Luftwaffe".

To chłodne rozumowanie, przeprowadzone dosłownie w kilku ułamkach sekundy, utwierdziło go ostatecznie w przekonaniu o pełnej już moralnej i fizycznej gotowości do błyskawicznego działania, wobec czego bez dalszego już wahania spokojnie sięgnął po granat. Potężny, ogłuszający huk targnął powietrzem i chmura dymu zmieszanego z piaskiem i strzępami wydartych ziemi przygarści młodego zboża wyleciała wysoko w górę przed szeroko rozwartymi przerażeniem źrenicami gotujących się właśnie do nowego skoku lotników.

Chłopak wycofywał się odtąd z zimną premedytacją, z wyrachowaniem, z precyzją budzącą na przemian wściekłość i podziw w przeciwnikach i źle tajony entuzjazm w oczach garstki skamieniałych, zesztywniałych kolegów, z zaschniętymi z podniecenia gardzielami, z zagryzionymi do krwi wargami śledzących przebieg dramatycznej rozprawy — sekunda za sekundą, skok za skokiem. Widzieli, że był ranny w nogę, że coraz to utykał, ale dostrzegli już także, że z sekundy na sekundę malał zawzięty przed tym napór lotników, coraz to przygasał w napastnikach pierwotny zapał do pościgu za celnie ostrzeliwującym się bojowcem. Chłopcy byli już prawie pewni, że ich przyjaciel wyjdzie przecież cało z okrutnej matni, z najtragiczniejszej dla nich samych walki, na którą musieli tak bezradnie spoglądać z palcami na spustach pistoletów.

Z minuty na minutę — powoli tracili już nawet zdolność zatajania w sobie budzącej się niepohamowanej radości. Z trudem panowali nad rosnącymi w nich, wzbierającymi nowymi emocjami.

I wtedy to właśnie stała się ta rzecz — nie do opisania, która poraziła jak piorunem ich myśli, wolę, uczucia, osłupiła ich tak, że nie potrafili nigdy po tym — ani nazajutrz, ani kiedykolwiek później, zdać żadnej uporządkowanej, sensownej relacji z tego, co się wtedy z nimi działo.

Spod drzew wiejskiego ogrodu, ze zbawczych krzewów, ku którym przedzierał się Janek, wysunęła się, zataczając szybko szeroki łuk, gęsta i długa tyraliera i z przeraźliwym wyciem rzuciła się na młodego partyzanta.

Nikt z nich — ani on sam, ani stojący pod ścianą wagonu jego towarzysze — nie mógł wiedzieć, nie brał tego w rachubę, nawet nikomu z nich choćby na jedną chwilę przez myśl nie przeszło, że w ocienionym wiśniowym sadem domu mogła być placówka niemieckiej żandarmerii...

Mniej więcej w kwadrans po tym kolejka ze świstem i sapaniem zabawnej lokomotywki-samowarku ruszała dalej. Ostatni, spóźnieni uczestnicy przedwieczornej obławy wskakiwali w biegu na stopnie wagonów. Tu i tam na niebie ukazywały się już chłodne iskierki gwiazd.

W zdeptanym życie, na mazowieckim, podwarszawskim piasku leżał rzucony na wznak, z odchyloną głęboko do tyłu głową młody chłopak. Wieniec naciśniętych nisko na oczy, ciężkich, stalowych hełmów pochylał się nad leżącym. Stygnąca, krzepnąca powoli krew, zmieszana z pyłem ziemi, zlepiała jasne, szczeciniaste włosy nad czołem. Martwymi, szklanymi źrenicami spoglądał nieruchomo w mroczniejącą pustkę nieba.

Była znów cisza. Ciepły podmuch ledwie lekko kołysał smukłymi źdźbłami młodego zboża i tylko z oddali niósł się przez pola melodyjny stukot kół po szynach, podpowiadając słowa starej, żołnierskiej piosenki:

— To bida, to bida, oj, to, to, to...

Stanisław R. Dobrowolski

STANISŁAW WYGODZKI

CZY NAPISZĘ POWIEŚĆ?

II.

BYŁO lato 1939 roku, lecz nie zamierzam bynajmniej opisywać wam tego, co się działo wówczas w naszym kraju. Uczynią to niewątpliwie ludzie bardziej do tego powołani: politycy, pisarze, zwłaszcza, że wkrótce przypadnie dziesięciolecie naszego września nieszczęsnego dla naszego kraju i zwiastującego początek mojej osobistej klęski.

Z początkiem sierpnia dyrekcja ogłosiła, że z powodu zapełnienia magazynów dalsza produkcja musi być wstrzymana. Istotnie, ładunków odprawiano obecnie coraz mniej. Jeszcze nie strzelały armaty, ale wojna już się toczyła. Notowania giełdy londyńskiej wskazywały coraz mocniejszą tendencję, poczęło nieuchronnie działać prawo podaży i popytu, jaskrawo, bez osłonek. Anaconda Copper Ltd. główny dostawca cynku na rynki europejskie, przerwała dostawy, dyrekcja zaś odmówiła wykonania umów: rozpiętość cen między bazą kontraktów zawartych przed wieloma miesiącami a obowiązującą obecnie ceną surowca była tak rozległa, że dostawa mogła się odbywać jedynie z olbrzymią stratą, bo co najgorsze — nie było mowy o zakupywaniu nowego surowca. Cynk w magazynach wyczerpywał się, do tego pojawiły się nowe trudności. Zdolność przeładunkowa Gdyni była niewielka, Gdańsk w ogóle nie wchodził w rachubę. Polskie urzędy w „wolnym mieście" faktycznie już nie istniały. Codzienne awantury hitlerowców, rabunki i mordy dokonywane na polskich pracownikach poczty i kolei, usuwanie przemocą skrzynek pocztowych o polskich godłach, to wszystko narzucało szczególne piętno tej „wolności" chronionej nieudolnie przez międzynarodowe czynniki. W tym czasie hitlerowcy w Berlinie podnieśli krzyk na cały świat: dostrzeżono ruchy wojskowe na Westerplatte. Żaden statek nie zabierał polskich ładunków. Tu nawet dyrekcja mająca swą siedzibę na terenie Rzeszy była bezsilna. Odbiorcy zażądali, aby Hamburg stał się portem załadowczym. W Hamburgu stały okręty wojenne...

Spalaliśmy ostatni cynk, układając beczki wypełnione tlenkiem cynku pod gołym niebem, ponieważ kryte magazyny zawalone były beczkami aż po stropy. Wówczas dyrekcja wpadła na pomysł kierowania transportów drogą lądową: koleją do Cosel, stamtąd Odrą na Dunaj, do krajów bałkańskich. Codziennie odprawiano pociągi, które niepomiernie długo pozostawały w drodze, towar wyładowywano w Cosel, nie wysyłano go wcale dalej, wagony stały na terenie Rzeszy i nie wracały... Tymczasem urzędnicy fabryki, posiadając dokumenty świadczące o tym, że odprawa celna na granicy polsko-niemieckiej została przeprowadzona należycie, zgłaszali się do Izby Przemysłowo-Handlowej w S., gdzie zaopatrywano dokumenty w odpowiednie pieczęcie, po czym zgarniali grube pakiety banknotów — zwrot cła, premie wywozowe, które były niczym innym, jak ukrytą formą zdobywania pieniędzy od skarbu Państwa Polskiego za eksport...

Dyrekcja wywoziła z Polski biel cynkową, Niemcy zatrzymywali tabor kolejowy, Polska płaciła kapitalistom premie. Rabunek był jawny. Rabunek? Czy jest rabunkiem manipulacja usankcjonowana prawami kapitalistycznego państwa? Inżynier F. doskonale zorientowany w tych wszystkich posunięciach postanowił wysłać część zamagazynowanego na fabryce towaru na wschód, w głąb kraju, ale nieoczekiwanie Szuster, niepytany i niepowołany do zabierania głosu w podobnych sprawach, zaoponował:

— Nie ma tak dobrze, tu jeszcze nie komuna, są właściciele, i to będzie rabunek, jeśli samowolnie będziecie wysyłali towar.

Nie ukrywał przed nami, że porozumiał się z komendą policji, a jeśli trzeba będzie, to zwróci się gdzie indziej. Pomagał mu w tym szofer, ów kolporter „Błyskawicy", który od kilku dni jawnie paradował po fabryce w swojej wiśniowej koszuli, partyjnym stroju Polskich Narodowych Socjalistów. Ten oświadczył, że nie będzie zwoził towaru ciężarowym wozem, i tonem groźniejszym:

— Jak trzeba będzie, to sprowadzę swoich chłopaków i zrobimy porządek.

To nie była groźba: wiedział, że się cofniemy, że nie będziemy nalegali na inżyniera F., by interweniował u policji. Zbytnio się nami interesowała. Mogliśmy uratować towar, ale przy tej okazji defensywa przypominałaby sobie — bo czy Szuster i jego pomocnicy zachowaliby się biernie? — że mają do czynienia z „akcją komunistyczną".

W dniu ogłoszenia mobilizacji Szuster opuścił fabrykę. Zjawił się po południu w mundurze sierżanta, obszedł fabrykę, a nie zastawszy inżyniera F., zapytał o niego.

— No, gdzie nasz kierownik?

Lustrował nas bacznie ironicznym spojrzeniem.

— A wy co, dekujecie się?

Była w jego tonie groźba, której nikt się nie przeląkł. Młodsi robotnicy odeszli tego samego dnia do swych jednostek, pozostali tylko starsi hutnicy, nie podlegający mobilizacji, Wawrzyniec i ja.

Powiedziałem Wawrzyńcowi, że już na mnie pora. Nie mam karty mobilizacyjnej, ale pójdę do PKU.

Posiadałem książeczkę wojskową z uwidocznioną kategorią A, ale tuż obok czerwonym atramentem umieszczono notatkę: karany na podstawie art. 102, par. I i II. Urzędujący w PKU kapitan spojrzał na tę notatkę i marszcząc brwi odpowiedział z miejsca:

— Zwiewajcie. Komunistów nam nie trzeba.

Wróciłem na fabrykę i zjawiłem się w chwili, gdy pozostali robotnicy ciągle dyskutowali sprawę wysyłki bieli na wschód. Dochodziło do utarczek: rozbić beczki i puścić wszystko z wiatrem, mówili jedni. Inni sprzeciwiali się temu: jak to, zniszczyć to, co się własnymi rękami zrobiło? Nie, o nie, do tego nie dopuszczą. A może wysłać? Po co zostawić Niemcom tyle bieli, tyle bieli. Sytuacja była o tyle prosta, że ani dyrekcja nie mogła już ingerować ani nie było już inżyniera, Szustra. Byliśmy panami fabryki.

Z trudem uzyskałem połączenie telefoniczne z Warszawą: zarządzający naszym składem konsygnacyjnym oświadczył, że ma miejsce w magazynie, że chętnie przyjmie kilka wagonów, ale trzeba się śpieszyć, koniecznie śpieszyć się. Poszliśmy na dworzec towarowy zamówić kilka wagonów, które chcieliśmy załadować w ciągu dnia i nocy. Zawiadowcy nie było. Kolej już była zmilitaryzowana i rozmawiał z nami jakiś kapitan: chaotycznie, nerwowo. Nie mógł pojąć, dlaczego chcemy opróżnić magazyny, a zresztą — machnął ręką i przepuszczając nas przodem wyprowadził ze swego pokoju drzwiami, które prowadziły bezpośrednio na peron.

Na cichych torach nie było ani jednego wagonu.

*

Piec dogasał, stygł powoli, poczęto go klepać, powierzchownie wprawdzie, ale zdarto z niego resztki cynku, który osiadał na cegłach szamotowych wskutek przerwania dopływu ciepła. Fabryka zamierała, ale ludzie pozostali. Zaprowadzono nocną zmianę, która obchodziła cały teren, strzegąc zabudowań. Nocą nie wolno było palić świateł, nie chcieliśmy dopuścić rabusiów.

Nad ranem przeleciały pierwsze samoloty i czarne krzyże na skrzydłach wyjaśniły nam, że są to samoloty niemieckie. Spadły też pierwsze bomby, które wybuchły, podobno w pobliżu podstacji elektrycznej, niedaleko dworca. W południe rozpoczął się odwrót naszych wojsk: kolumny rozbitków ciągnęły od Czeladzi ku mostowi w kierunku na Dąbrowę Górniczą. Tłum cywilów szedł razem z wojskiem.

Zapytałem Wawrzyńca:

— Na co czekamy? Po co tu tkwimy?

— Żeby pilnować.

— Czego? Tej fabryki, którą Niemcy zabiorą? Przecież tu się zaraz zjawi niemiecka dyrekcja!

Chodziliśmy wzdłuż podwórza fabrycznego, nasłuchując, jak milkną syreny.

— Upilnujemy, żeby nikt nie rabował. Po co szkodzić fabryce? Przecież kiedyś będzie nasza.

— Ale ja nie mogę zostać.

Przystanął i spojrzawszy na mnie powiedział cicho:

— Nie chciałem ci gadać, ale powinieneś zwiewać. Jeszcze i to dobre, że nie ma Szustra, ten zrobiłby z nami odrazu porządek.

Opuściłem miasto w niedzielę nad ranem. Szedłem razem z tłumem, tuż w pobliżu taborów i kolumn wojska, ale

JAN KOTT

Narodziny powieści albo o Danielu Defoe

II. Kapitalizm na bezludnej wyspie

Szanujący się kupiec angielski, z chwilą, kiedy założył rodzinę, nie powinien odbywać dalszych podróży, jak na pierwsze piętro własnego domu.

(Defoe: The Complete English Tradesman).

W roku 1705 szkocki marynarz Aleksander Selkirk pokłócił się ze swoim kapitanem i zażądał, aby go wysadzono z okrętu na najbliższy ląd. Na bezludnej wyspie Juan Fernandez, leżącej na Oceanie Spokojnym u brzegów Chili, spędził cztery lata i cztery miesiące, aż go zabrał stamtąd angielski okręt pod dowództwem słynnego podróżnika Wooda Rogersa. Selkirk zapomniał prawie ojczystego języka, nie umiał nic opowiedzieć o swoim pobycie na wyspie i rozpił się po powrocie do Anglii.

Historia jego wzbudziła jednak powszechną ciekawość. Pisali o niej Steele, Rogers i Cook. „Ludziom wydaje się — czytamy u Cooka — że rozmowa z człowiekiem, który żył tak długo na bezludnej wyspie, musi być niezmiernie zajmująca, i sądzę, że życie takiego człowieka było bardzo ciekawe. Jest to tymczasem najbardziej jałowy temat, jakiego może dostarczyć Natura... Widzimy przed sobą prawdziwego marynarza, którego jedyną troską było utrzymanie się przy życiu, a jedynymi rozmówcami kozy". Po czym Cook w ten sposób kończy swoją opowieść: „Łatwo byłoby upiększyć podobne opowiadanie wplatając w nie wiele romantycznych przypadków. Ludziom rozsądnym nie przypadną do smaku takie głupstwa, czytają, aby się uczyć, i umieją łatwo odróżnić prawdę od kłamstwa".

Historia naturalna człowieka na bezludnej wyspie dałaby się prawdopodobnie zamknąć w dziesięciu zdaniach. Ale „Przypadki Robinsona Kruzoe" nie są historią nowego Selkirka i trudno o piękniejszy przykład, czym jest wielka powieść. „Przypadki Robinsona Kruzoe" są rozdziałem historii społecznej, historii Anglii i historii mieszczaństwa. Książka Daniela Defoe ma trzech bohaterów: bezludną wyspę, Piętaszka i Robinsona. Każdy z tych bohaterów zajmuje wielkie miejsce w historii cywilizacji.

Nieliczni mieszkańcy wyspy Juan Fernandez pokazują do dziś dnia pieczarę Robinsona i sprzedają okruchy wypalonych przez niego garnków. Na wyspie Tobago gubernator odnalazł ślad stopy ludożercy, którego tak się przestraszył Robinson i szkielet starego kozła, którego zakopał u wejścia do jaskini. Szkielet ten był nawet pokazywany na światowej wystawie w Chicago w roku 1893.

Znamy długość i szerokość geograficzną wyspy Robinsona w zatoce Orinoko i możemy narysować jej dokładną i szczegółową mapę. Ale to nie jest wyspa, na której Robinson spędził dwadzieścia osiem lat. Prawdziwej wyspy Robinsona, gdzie żyją koty, żółwie, papugi i kozy, foki i pingwiny, nie znajdziemy w żadnym z atlasów geograficznych. Nie ma jej na żadnym z mórz i oceanów, albo raczej — znajduje się na wszystkich. Prawdziwą wyspę Robinsona odnajdziemy na starych mapach, gdzie białe plamy z napisem: u b i l e o n e s: tam gdzie lwy, obejmują północnowschodnie wybrzeża Azji, zachodnie granice północnej Ameryki i prawie całą Australię. Prawdziwą wyspę Robinsona odnajdziemy w historii kolonialnego imperium Anglii, we wszystkich handlowych osadach zakładanych przez cnotliwych purytanów.

Piętaszek, którego Robinson ochrzcił, ubrał w spodnie i obdarzył w Biblię, jest jednym z wielu „dobrych dzikusów", których naturalną niewinność podziwiano przez cały wiek, a potem nauczono pracować i ginąć za swoich panów. Robinson jest wreszcie, jak sam Daniel Defoe, londyńskim kupcem z początków XVIII wieku, kiedy przeciętnie wywożono z Afryki do kolonii 20.000 niewolników rocznie, kapitał Kompanii Wschodnio-Indyjskiej urósł do trzech milionów funtów, a w angielskich i szkockich portach okręty wyładowywały tytoń z Wirginii, cukier z Indii Zachodnich, ryż z Karoliny, drzewo na maszty okrętowe z Nowej Anglii.

Robinson pochodzi z owego średniego stanu, który wolny jest od nędzy, mozołów i cierpień, na jakie skazane są niższe klasy, i od żądzy przepychu, dumy i zawiści, które są udziałem wielkich panów... od większości chorób i od niedołęstwa na ciele i na umyśle, które u bogaczów rodzą się ze zniewieściałości, niewstrzemięźliwości i występków, a u biedaków z niedostatku, lichego pożywienia i ciężkiej pracy. Ale Robinsona nie powstrzyma od zamorskich wypraw ani odmowa błogosławieństwa ojcowskiego, ani pochwała spokojnego życia mieszczan, którzy „nie potrzebują troszczyć się o kawałek chleba, ani męczyć się ciężką pracą rąk lub umysłu, dzięki czemu duszą ich może zaznać spokoju, a ciało spoczynku". Robinson należy już do pokolenia, które budowało kolonialne imperium.

Jest kupcem od pierwszej do ostatniej karty książki. W pierwszą podróż wyrusza z kapitałem czterdziestu funtów i wymieniwszy u brzegów Gwinei świecidełka na złoty piasek przywozi do Londynu funtów trzysta. O swoim małżeństwie i dzieciach opowie nam w trzech linijkach i w jednym zdaniu, ale kilkanaście stron poświęci ścisłej, dokładnej i szczegółowej relacji, w jaki sposób odebrał dochody ze swoich plantacji w Brazylii i jak zachwycenie i radość z odzyskanych bogactw mało go o śmierć nie przyprawiły, że aż musiał wołać cyrulika, aby mu krew puścił. Co krok natrafiamy tutaj na rachunki. Oto epilog tej wielkiej powieści: „W dniu 13 września stanęliśmy na Elbie. Sprzedaliśmy tu bardzo korzystnie nasze chińskie towary i syberyjskie futra, a po wzajemnym obrachunku i dziale, część przypadająca na mnie wynosiła 3475 funtów szterlingów, 17 szylingów i 3 pensy, wliczając w to wartość sześciuset funtów w diamentach, które kupiłem był w Bengalu".

Za każdym razem wyliczy nam Robinson z dokładnością do ostatniego pensa zyski ze swoich operacji handlowych. Nie pominie nazwy ani jednej monety, nie zapomni nigdy o kosztach. Kiedy za plantacje w Brazylii otrzyma 33.000 talarów czekiem na bankiera w Lizbonie, napisze bez dalszych wyjaśnień, że podjął w Londynie 32.800 talarów. Angielskiemu czytelnikowi nie trzeba było tłumaczyć, że 200 talarów wziął bankier za przeprowadzenie tej transakcji. (Jest rzeczą bardzo zabawną i pouczającą, że w żadnym z kilkunastu polskich przekładów i przeróbek Robinsona, od pierwszego tłumaczenia z roku 1769 do ostatnich, kwota ta nie została podana dokładnie. Sumienność handlowa Robinsona została zlekceważona przez wszystkich polskich tłumaczy).

W tej powieści, której ogromna część dzieje się na bezludnej wyspie, pieniądze zajmują nie mniej miejsca, są równie namacalne, jak w „Komedii Ludzkiej" Balzaca. Tylko, że to są inne pieniądze. Milczącą bohaterką powieści balzakowskich jest hipoteka, bohaterowie ich uganiają się za rentą, wyrywają sobie nawzajem spadki, ostatnim aktem klasowej rozgrywki jest intercyza spisana u rejenta. Dzieje wielkich spekulacji na dostawach w czasach Rewolucji i Napoleona, na pożyczkach w latach Restauracji ukryte są w prologach powieści. U Daniela Defoe kapitał nie stał się jeszcze tajemniczą, anonimową i groźną siłą. Pieniądz jest jeszcze ściśle związany z towarem, każda rzecz ma swoją cenę, każda rzecz jest towarem, nawet nie zużyta na świece resztka pszczelnego wosku. „Szlachetne postępowanie kapitana — czytamy o szczęśliwym wybawieniu Robinsona z tułaczki u brzegów Afryki — nie wyjdzie mi nigdy z pamięci... nie chciał nic wziąć ode mnie za podróż, dał mi dwadzieścia dukatów za skórę lamparta i czterdzieści za skórę lwa, zakupił wszystko, czego chciałem się pozbyć, a mianowicie skrzynkę z butelkami, dwie strzelby, resztę wosku pszczelnego nie zużytego przeze mnie na świece, co krótko mówiąc przyniosło mi około 220 talarów".

Defoe jest wielkim, naiwnym realistą, nie ma złudzeń, ale i nie ma najmniejszych wątpliwości. Prawa społeczeństwa burżuazyjnego są dla niego naturalne, sprawiedliwe, rozumne. Bogactwo daje posiadanie towarów, narzędzi pracy i niewolników, szczęśliwe wyprawy handlowe, udane transakcje kupieckie, dobrze prowadzone plantacje. Bogactwo nie zatraciło jeszcze cech ludzkich, jest wynikiem praktycznej i rozumnej działalności człowieka.

Defoe nie oburza się, ale i nie idealizuje. Jest wielki w swojej naiwności, w swojej prawdomówności, w zupełnej prostocie, z jaką opisuje prawa swojego świata. Jego obrazy ściśle przylegają do rzeczy, są równie uczciwe, jak handlowe księgi purytańskiego kupca. „Jak łatwo — pisze o handlu na wybrzeżach Gwinei — można tam za drobiazgi, jak paciorki, zabawki, noże, nożyczki, siekierki, lusterka i tym podobne rzeczy, nabyć nie tylko złoty piasek i kość słoniową, ale i niewolników negrów do pracy w Brazylii".

Pieniądz włada już społeczeństwem burżuazyjnym. Nie tylko każda rzecz ma swoją cenę, ale i człowiek. Bez pieniędzy człowiek jest niewolnikiem, tak samo w Barbarii, jak w Brazylii. „Gdyby mi kapitan portugalski — czytamy w „Robinsonie" — zabrał wszystko, cokolwiek wziąć mógł ode mnie za wybawienie, umarłbym z głodu lub też zostałbym przywiedziony do tego stopnia nędzy, iżby mi przyszło może stać się takim samym niewolnikiem w Brazylii, jakim byłem w Barbarii, z tą tylko różnicą, iżbym nie do mahometanina należał. Portugalczyk nie lepszy jako pan od Turka, a zdarza się, iż gorszym bywa.

Robinson bez większych skrupułów sprzedaje za sześćdziesiąt talarów młodego Maura, z którym razem uciekł z niewoli, upewniwszy się tylko, że wrócą mu wolność po dziesięciu latach, jeżeli zostanie chrześcijaninem. Będzie gorzko żałował swojego postępku, ale dopiero w Brazylii, kiedy mu zabraknie rąk do pracy na plantacji trzciny cukrowej.

Nie przestaje być nigdy kupcem. Jest praktyczny, rozsądny, przewidujący. Bardzo nawet przewidujący. Kiedy na rozbitym okręcie, skąd narzędzia i żywność przewozi na swoją bezludną wyspę, odnajdzie szufladę z pieniędzmi, wykrzyknie co prawda w pierwszym uniesieniu: „Nędzna mamono! cóż mi z ciebie przyjdzie tutaj. Nawet tyle nie jesteś warta, bym się schylił po ciebie. Pierwszy lepszy nóż większą ma dla mnie cenę od tego całego bogactwa. Zostań sobie i idź na dno morskie, nie jesteś godna ratunku". Po tych filozoficznych uwagach, zawija jednak monety starannie w kawał płótna żaglowego, zabiera z sobą i będzie je przechowywał na samym dnie pieczary przez całe dwadzieścia osiem lat swojego pobytu na bezludnej wyspie. Oto wielki realizm Daniela Defoe.

W tej powieści, która dzieje się w czterech częściach świata, nie ma prawie opisów przyrody. Defoe nie ma czasu na bezinteresowne zachwyty, śpieszy się, interesuje go tylko człowiek i jego działalność. Natura nie jest ani zła ani dobra, ani piękna ani brzydka, daje tylko środki utrzymania, albo grozi życiu. „Zabiłem — notuje Robinson — wielkiego ptaka, który był bardzo smaczny". Owszem, w czasie pierwszej podróży zdarzy mu się podziwiać spokojne morze o wschodzie słońca, ale cieszy się przede wszystkim, że już nie cierpi na morską chorobę i że dobrze spał tej nocy. Kiedy indziej znowu zachwyci się żyzną doliną, gdzie rosną cytryny, pomarańcze i winorośle. Ale zachwyt jego płynie z poczucia własności. Będzie głośno krzyczał sam do siebie, że jest królem, władcą i panem tej wyspy, że wszystko, co widzi, należy do niego i gdyby udało mu się przenieść tę krainę w jakąś cywilizowaną część globu, miałby do niej równie niezaprzeczone prawa, jak lordowie angielscy do swoich posiadłości, i mógłby ją zostawić w spadku swoim następcom.

W tej powieści tak zupełnie pozbawionej krajobrazów istnieje porywająca poezja rzeczy. I nie znam w całej literaturze utworu, który by potrafił z takim surowym realizmem pokazać świat rzeczy otaczający człowieka. Pejzaż, ludzki pejzaż tej książki tworzą towary i przedmioty codziennego użytku, narzędzia pracy i ekwipunek okrętów. I zawsze w tym samym, bezosobistym tonie inwentarza handlowego, którego nikt potem nie potrafił podrobić i którego sucha rzeczowość ma w sobie jakiś urzekający patos. „Nigdym już ich nie obaczył — rozpacza Robinson po utracie swoich towarzyszy — ani nawet śladu jakiego po nich poza trzema kapeluszami, jedną czapką i dwoma trzewikami, z których każdy był od innej pary". Albo ów wspaniały opis przedmiotów, jakie otrzymuje w darze od kapitana po poskromieniu buntu załogi. „Naprzód była skrzynka pełna wódek uzdrawiających z sześciu flaszami wina Madery (każda z nich trzymała dwanaście kwart), dwa funty doskonałego tytoniu, dwanaście ćwierci wołowiny i sześć ćwierci wieprzowiny, worek grochu i około stu funtów sucharów, nadto paka cukru a druga mąki, worek cytryn, dwie butelki syropu... prócz tego sześć koszul nocnych, sześć bardzo dobrych kołnierzyków, dwie pary rękawiczek...".

Oto jak nie tylko bohatera, ale i same zasady pisania kształtowała praktyka burżuazji. Dziennik okrętowy, list kupiecki i rejestry stały u narodzin tej męskiej prozy.

Brak jeszcze księgi głównej rozchodów i przychodów. Ale przecież niemal cały opis pobytu Robinsona na bezludnej wyspie jest jedną wielką księgą handlową, która zawiera k r e d y t i d e b e t, gdzie po jednej stronie czytamy: „Jestem na wyspie bezludnej, pustej i bez nadziei ratunku", a po drugiej: „Lecz żyję i nie zatonąłem, jak wszyscy moi towarzysze". I tak co wieczór, w kaftanie z koziej skóry, który mu spadał na kolana i w wielkiej, śpiczastej czapie mającej postać słomianej pokrywy, jaką nakrywają ule, spisywał Robinson równie sumiennie jak kupiec, który siedzi w swoim kantorze w City, wszystko, co mu się w ciągu dnia przydarzyło. Tak samo po modlitwie i odczytaniu rozdziału z Biblii zasiadali co wieczór do pisania rachunków purytanie w Nowej Anglii, Wirginii i Afryce.

„Umiałem znaleźć pociechę zestawiając złe i dobre strony mego położenia. Wypisując wszystko, co się ze mną stało, liczyłem się całkiem bezstronnie sam z sobą, jak wierzyciel z dłużnikiem". I jak w uczciwie prowadzonym kantorze, saldo dobrych i złych przypadków jest zawsze dodatnie. „Doświadczenia nabyte przeze mnie w tym najopłakańszym stanie — pisze Robinson podsumowując pierwszy rozdział swojej księgi — może być użyteczną nauką, że w każdym, choćby najgorszym położeniu znajduje się jakaś pociecha, którą w ogólnym rachunku dobra i zła zapisać można po stronie zysków".

Księga główna, księga strat i zysków, obraz sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, wyrażony, jakby powiedział współczesny neopozytywista, w intersubiektywnym języku epoki, patronuje nie tylko powieściom Daniela Defoe. W „Pameli" i „Klarysie" Richardsona odnajdujemy nie mniej skrupulatną buchalterię moralną. Lowelas notuje wszystkie zniewagi, jakie musiał wycierpieć od Klarysy. Klarysa układa szczegółową klasyfikację zalet i wad Lowelasa z odpowiednimi podpisami i numerami:

„że taki mąż mógłby podważyć moje zasady i narazić na hazard moją przyszłość";

„że ma bardzo niemoralny stosunek do kobiet";

„że wiedząc o tym, nie przystoi myśleć o połączeniu się małżeństwem z takim człowiekiem".

Pamela prowadzi rachunki swoich czynów miłosiernych pod pięknym tytułem „Skromna odpłata za łaski niebios". Klarysa układa słynny „budżet czasu", który zawiera drobiazgową buchalterię wydatkowanego czasu, od spotkań i rozmów z przyjaciółmi po dobre uczynki świadczone ubogim.

W tych pełnych naiwności wyliczeniach wad i zalet i dokładnych rachunkach bohaterów prowadzonych z samym sobą, zdumiewa mnie zdrowy rozsądek wielkich powieściopisarzy angielskiego Oświecenia. Ich wiedza o człowieku, tak daleka od wspaniałych syntez i pysznych uogólnień moralistów wieku klasycznego, jest jednak nierównie bogatsza i znacznie bardziej sprawdzalna. Jeżeli kartezjański człowiek, którego „całą substancję stanowi myślenie", był modelem pisarzy klasycznych, człowiek, którego c a ł ą s u b s t a n c j ę s t a n o w i d z i a ł a n i e, jest modelem powieściopisarzy angielskiego Oświecenia. Interesują ich przede wszystkim realne związki łączące ludzi z sobą, oceniają czyny nie według pobudek, ale według skutków. Co z tego, że kapitan jest szlachetny, kiedy nie umie prowadzić okrętu, a kupiec ma dobre serce, jeżeli nie płaci długów? Spór o wartość człowieka rozstrzygają kategorie pożytku i szkody, powodzenia i klęski. Wiedza o człowieku wyrasta z praktyki społecznej, z cierpliwej obserwacji ludzkiego postępowania.

Bohaterowie powieści Daniela Defoe, Richardsona i Fieldinga nie są nigdy sami. Nie są sami nawet na bezludnej wyspie. Patrzy na nich Bóg, mają za sobą Biblię. Ale Bóg jest już tylko stróżem mieszczańskiego porządku, a Biblia surową księgą praktycznej moralności. I może najbardziej podziwiam w „Robinsonie" obraz Opatrzności, która tak sprawiedliwie karze za każde zaniedbanie i lekceważenie własnego interesu i tak hojnie nagradza pracowitość, wytrwałość i cierpliwość.

Purytanin wierzy w cuda, Opatrzność i diabła, ale biblijnym językiem broni już tylko rozumu i doświadczenia. Robinson znajduje niespodziewanie na bezludnej wyspie rosnące dziko kłosy jęczmienia. Pada na kolana i krzyczy z uniesieniem: „Bóg cudem swoim kazał róść tym kłosom, chociaż zasiane nie były, aby mi zapewnić życie na tej nowej pustyni... Tym bardziej zdumiewałem się, że obok tych kłosów europejskiego zboża, tu i ówdzie pod ścianą skały wyrastały badylki ryżu, które poznałem od razu, widując je dawniej w Afryce. W mniemaniu, że ten cud i wielkość jego są dziełem Opatrzności, zacząłem po wszystkich ustroniach wyspy, u stóp wszystkich skał, upatrywać podobnych kłosów..." Ale kiedy więcej kłosów Robinson nie znalazł, wtedy... oddajmy lepiej głos jemu samemu: „Przypomniałem sobie dopiero, że wytrząsnąłem był woreczek z ziarna przeznaczonego dla drobiu właśnie na to samo miejsce; i znowu przestałem wierzyć w cuda". Po czym uczciwie dodaje: „Wyznam tu moją płochość, żem pomyślał niebacznie, iż za porywczy jestem w dziękczynieniach".

Podziwiam naiwny realizm Daniela Defoe. Oto wielka scena narodzin racjonalisty. Pobożny Robinson, który tak ograniczył rolę Opatrzności, poradzi sobie teraz i z diabłem. Na piasku znajduje wyciśnięty ślad stopy ludzkiej. Przerażony, ucieka do swojej pieczary. Jest przekonany, że diabeł zostawił ślad swojej stopy na piasku. Ale powoli zaczyna rozumować. I oto jego argumenty: „Trudno było uwierzyć, żeby szatan bez innego celu, jak tylko dla wybicia stopy na piasku, przybierał postać ludzką; bo jeżeli chciał mnie nastraszyć, jakżeż mógł być pewny, że spostrzegę tam ślad jego stopy? Zdaje mi się, że ten chytry syn piekła mógłby tysiąc innych wymyślić sposobów do sprawienia mi trwogi; nie mógł być przecież do tego stopnia głupi, żeby wiedząc, gdzie mieszkam, wytłaczać stopę po drugiej stronie wyspy, gdzie można by stawić w zakład dziesięć przeciw jednemu, że nawet jej nie spostrzegę; zwłaszcza, że była wytłoczona na

---

tych szczegółów nie będę opisywał. Inni już to uczynili i nie chciałbym powtarzać tego, co dla wszystkich było widoczne i jasne. Klęska była całkowita i przerażająca.

*

Moja wędrówka trwała kilka dni. Mijając Dąbrowę Górniczą zatrzymałem się na „Dziewiątym", kolonii złożonej z kilku niewielkich domków, i wpadłem na chwilę do mieszkania towarzysza, u którego odbywaliśmy zebrania Komitetu Okręgowego. Jeżeli znacie tę kolonię, to był to ten domek, którego okna wychodzą na łączkę, na której przed laty odprawiał swoje nabożeństwa ks. Huszno z kościoła narodowego. Było tu cicho, ale rozmowa nasza trwała krótko.

— Wszyscy uciekają, mówił mój towarzysz, jak by tu nie było nic do roboty. Był wysoki, blady ,o chorobliwym wyglądzie — miał za sobą sześć lat więzienia. Staliśmy przed domkiem a on mówił:

— Rozumiem, że wy uciekacie, wasz wygląd...

Urwał, nie dokończywszy zdania, ale wiecie — ciągnął dalej — Paweł Targosz zwiewał, Bolek Krasoń, Maryśka Dziekan... Nic nie rozumiem, cały nasz aktyw... Nie używaliśmy już pseudonimów, znaliśmy się wszyscy od wielu lat z imienia i nazwiska. Od niego dowiedziałem się, że Dulewski zostaje, że Kalaga nie zamierza ruszać się, zostaje Wicek Szostak i inni jeszcze, którzy uważają, że nie wolno opuszczać terenu.

Zapytałem:

— Czy nie sądzicie, że naszym ludziom grozi olbrzymie niebezpieczeństwo? Znają ich szpicle i policja, wystarczy byle jaka swołocz, która ich wskaże Niemcom, aby im się dobrali do skóry...

— Pewnie, że tako może być, to my jeszcze głębiej wejdziemy w podziemie, już nieraz tak bywało. Ale uciekać, żeby tylko stare mamuty zostały? Mówiąc „mamuty" wskazywał na siebie i uśmiechnął się. Widzicie, gorzej z naszymi ludźmi, którzy jeszcze w tej chwili siedzą po więzieniach. Wymienił nazwisko Staśka Fürstenberga, Pawła Findera, Mariana Buczka. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że wyrwawszy się z więzienia komuniści śpieszyli na front. Kilkanaście dni później, gdy ministrowie ledwo co byli zwiali, Marian Buczek legł w boju, broniąc naszej stolicy... Ten, którego tamci ministrowie, czmychający właśnie skazywali ciągle na długoletnie więzienie.

— Odprowadzę was.

Szliśmy łąką i towarzyszył mi, mimo iż znałem doskonale te drogi. Zbliżaliśmy się do toru kolejowego. Stał tam pociąg towarowy o odkrytych węglarkach, w których tkwili gęsto zbici ludzie. Pożegnałem go i wgramoliłem się na wagon. Siedzący w nim powiedzieli mi, że od wielu godzin czekają i nie wiedzą czy pociąg ruszy. Zapadał zmierzch. Ludzie milkli powoli i zmęczeni zasypiali, gwar ustawał. Pod spokojnym niebem przepływał samotny ciężki samolot, przeszedł górą wzdłuż pociągu i ludzie zamierali w przerażeniu. Odpływał daleko na zachód w płonący horyzont, czy do swojej bazy? Wydostałem się wierzchem oblepiony pyłem węglowym i oddalałem się od toru, zmierzając ku pobliskiemu laskowi. Zamierzałem tam zanocować. Było ciemno, wstrząsał mną chłód, byłem zmęczony. Ułożyłem się na podszyciu na wpół czuwając, drzemiąc na wpół. Nie widziałem brzasku. Obudził mnie huk samolotów lecących nisko. Pociąg jeszcze tkwił na torze. Samoloty szły nad nim i widziałem ulatujące w powietrze kawały drzewa, żelaza, rozerwanych ludzi...

Szedłem lasami, jakimiś zagajnikami, skąd w rannej mgle wychodzili nagle, jak z podziemia, czujni żołnierze, smukli oficerowie z lornetami polowymi u pasów. Dostrzegałem w krzakach działka przeciwpancerne, karabiny maszynowe...

Szedłem ciągle przed siebie, zdala od dróg, którymi waliły gromady ludzi, milczące, nękane ciągłymi nalotami. Z tłumem szło wojsko, nie, już nie wojsko: był to drugi tłum, w mundurach, ale zgłodniały, bez dowództwa, bez rozkazów. Po raz pierwszy widziałem jakieś Wolbromie, Jędrzejowy, Miechowy, małą stacyjkę Miechów — Charsznica. Powtarzałem bezmyślnie: Charsznica, Charsznica, kojarzyłem jeszcze dźwięki. Powtarzałem: charsznica, marskość wątroby, chropowatość, ospowatość. Jeszcze miałem wyobraźnię, byłem jeszcze czuły na dźwięk. Jeszcze byłem poetą.

Po nocy znów natknąłem się na jakąś stację. Stał tam pociąg osobowy nabity ludźmi klnącymi, złorzeczącymi. Wymyślali sobie wzajemnie. Nie marzyłem nawet o tym, by dostać się do wagonu. To było chyba piątego września, stacja warszawska jeszcze działała. Nagle hałas począł się uciszać. Od lokomotywy, wzdłuż pociągu szedł człowiek w cywilnym ubraniu, w hełmie żołnierskim na głowie, krzycząc: słuchałem radia, słuchałem radia, Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę! Niech żyje Francja i Anglia, bij Żyda, bij Żyda! Rozentuzjazmowani ludzie podjęli okrzyk: niech żyje Francja i Anglia, nie widząc związku między pierwszą częścią okrzyku a jego zakończeniem. Zdaniem człowieka wznoszącego okrzyki, Żydzi ponosili obecnie winę za to, że Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę...

Ktokolwiek z was odbywał wówczas wędrówkę, wie, ilu szpiegów i prowokatorów snuło się w gromadach ludzkich i wśród żołnierzy. Wystarczyło słowo: szpieg, wskazanie palcem kogokolwiek, aby wskazanego odprowadzono natychmiast pod mur, pod pobliskie drzewo, gdzie go rozstrzeliwano. Widziałem kiedyś taką egzekucję w czasie tej wędrówki. W polu. Nie było ani muru ani drzewa. Na wietrze chwiał się krzew. Kazali mu uklęknąć. Obok krzewu. Młody chłopak. Czy ja wiem? Może prosił kogoś o kawałek chleba. O papierosy.

Tutaj szedł w jasny dzień wznosząc swój prowokacyjny okrzyk wobec wielu setek ludzi i nikt mu nic nie zrobił. Czy dlatego, że wyrażał utajoną myśl wielu ludzi, którzy uważali, że Żydzi są winni wszystkiemu? A może nie tknęli go dlatego, że tę czaszkę, dla której szkoda było kuli, chronił hełm polskiego żołnierza ozdobiony orzełkiem, symbolem państwowości, jakże deptanym, jakże plwanym?

W małych miasteczkach, na rynkach, w upalnym słońcu, nocą w chłodnym spokojnym świetle olbrzymiego księżyca odbywał się nieustanny, obłędny marsz. Ludzie marli na drogach, konali w chłodnych bramach domostw, gdzie pachniało jabłkami, jesienią, świeżo pieczonym chlebem. W Wolbromiu spałem w obcym domu zamieszkałym przez jakichś producentów mydła (Koniecpolski? Wdowiński?). Gotowali wodę, którą zabarwiali sokiem malinowym: już nie było ani herbaty ani cukru. Nie palono świateł, przez otwarte okna wpadało jaskrawe światło księżyca. Mówiliśmy półgłosem, mieszkańcy tego domu chcieli ukryć prawdę przed jakąś swoją babką, której nie chcieli przerazić wieścią o wojnie. Wyszła do nas z głębi mieszkania późną nocą w bieliźnie i czepku na głowie. Szła milcząca, widziałem w świetle księżyca jej upiorny profil, starczy profil zasuszonego ptaka. Podeszła do stołu, przy którym siedzieliśmy, i rozglądała się wokoło.

— Nie poznaję nikogo, co tu tyle ludzi? Kto to?

Wskazywała chudym palcem na mnie, na innych nieznanych sobie ludzi, i znów powtórzyła:

— Co tu tyle obcych ludzi? Powiedzcie mi, moi kochani.

Zwracała się do tych swoich wnuków i wnucząt, ale oni milczeli.

— Milczycie? Ale ja wiem. Ja wiem, kiedy obcy przychodzą do domu. W czasie spokojnym nikt nie szuka schronienia w obcym domu. Wojna jest potrzebna, żeby obcym dawać po kawałku chleba, szklankę harbaty...

Milczała chwilę, zgarniając ze stołu nieistniejące okruszyny.

— To już trzecia wojna w moim życiu.

Milczenie. Widzę ją białą, jej chude ręce, i pyta:

— A bramę zamknęliście?

— Tak, babciu, zamknęliśmy.

I teraz rozkazuje tym swoim skrzeczącym i jęczącym zarazem głosem:

— To otwórzcie, słyszycie, otwórzcie natychmiast. Przecież ludzie chcą pić.

Widziałem później w zabudowaniach miasteczek i wsi studnie zabite gwoździami. Żeby ludzie nie czerpali wody...

Byłem widocznie ostatnim uchodźcem z mojego miasta rodzinnego. Nigdzie wśród wielu dni na tych rozległych drogach nie spotkałem ani jednego znajomego, nikogo bliskiego. Czyżby już byli uszli tak daleko? A może ruszyli innymi szlakami? Do Wiślicy, do Wiślicy przebiegało przez tłum, tylko przejść Wisłę, za Wisłę, za Wisłę — jak by tam już nic nie groziło, ale czy most na Wiśle zachowany?

Nie, nie byłem ostatnim uchodzącym z miasta rodzinnego. To w Wiślicy, na rozległym rynku, z za niskiego domku wyszedł mi nagle naprzeciw Szuster. Już był w cywilu. Stał naprzeciw mnie uśmiechając się konfidencjonalnie. Obok nas przepływał tłum milczący, widziałem ludzi o obłędnym spojrzeniu, twa-

piasku, gdzie pierwsza fala morska lub wiatr nieco silniejszy mogły ją zrównać. Wszystko to nie odpowiada zupełnie chytrości i przebiegłości diabła... Ale jeżeli nie był to diabeł, wynikało stąd przypuszczenie o wiele straszliwsze, byli to dzicy ludzie..." Robinson bardziej się lęka dzikusów od samego diabła. Jest po raz drugi racjonalistą i ma rację.

Defoe jest niezrównany w obrazach klasowej natury angielskiego purytanina. Robinson jest chciwy i pobożny, pracowity i odważny, oszczędny, praktyczny i uparty. Jest wspaniałym organizatorem, a kiedy trzeba, i żołnierzem. Jest kupcem od pierwszej do ostatniej karty powieści, ale jest bohaterem tylko na bezludnej wyspie. W tym jest cała wielkość Daniela Defoe i „Robinsona Kruzoe", która odróżnia tę książkę od wszystkich innych powieści epoki. Kupiec, typowy kupiec angielski z Yorku ukazany w całym bogactwie swojej psychiki, staje się *naturalnym człowiekiem* filozofów.

„Żadna klasa społeczeństwa obywatelskiego — pisał młody Marks w „Przyczynku do krytyki heglowskiej filozofii prawa" — nie może odegrać rewolucyjnej roli, nie wzbudziwszy w sobie i w masach momentu entuzjazmu, momentu, w którym zlewa się ona z całym społeczeństwem, miesza się z nim, odczuwana jest i uznawana za jego *ogólnego przedstawiciela*. W momencie tym jej roszczenia i prawa są naprawdę prawami i roszczeniami całego społeczeństwa, a ona jest istotnie głową społeczną i sercem społecznym".

Kiedy Robinson na bezludnej wyspie wyciosuje z drzewa pierwszą łopatę, po raz pierwszy wypala garnek, sieje zboże i zastawia zasadzkę na kozy, aby je złowić i oswoić, staje się symbolem walki człowieka z przyrodą. W tych wielkich obrazach osiąga Daniel Defoe, jak to wielokrotnie podkreślono, surowy patos i poezję antycznego eposu. Robinson przestaje być angielskim mieszczaninem z początku XVIII wieku, staje się legendarnym bohaterem całej ludzkości.

„Piekąc sobie przy wielkim ogniu kawał mięsa, spostrzegłem w wydobytych do przygaszenia węglach odłamek skorupy z zepsutego naczynia, która była twarda jak kamień a czerwona jak wypalona cegła. Widok ten napełnił mnie radością, bo zaraz przyszło mi na myśl, że jeżeli skorupa mogła się tak dobrze wypalić, czemuż nie miałoby mi się to udać z całym naczyniem? Wszystkich zaraz użyłem sposobów do wypalania kilkunastu naczyń rozmaitego kształtu. Nie miałem najmniejszego wyobrażenia o cegielniach ani o mieszaninie, jakiej zwykli używać garncarze do oblewania garnków, nie wiedziałem wcale, że używają do tego ołowiu. Ustawiłem na przygotowanym ognisku trzy wielkie dzbany, jeden koło drugiego, a pod nimi kilka pomniejszych. Następnie pokryłem je i otoczyłem drzewem, które zapalone z wszystkich stron, bardzo mocny wydało ogień, podsycany podpałkami tak długo, aż moje naczynia zostały całkiem czerwone, bez najmniejszego pęknięcia. Trzymałem je tak do sześciu godzin w ogniu, kiedy zauważyłem, że jeden z nich zaczął się topić, choć ostał się cały: to topił się piasek zmieszany z gliną i zmieniłby się w szkliwo, gdybym go dłużej trzymał w ogniu. Stopniowo przeto zmniejszałem ogień, naczynia też powoli traciły swoją czerwoność i tak całą noc przy nich koczowałem, żeby mi ogień nie zgasł... Nikt nie doznał większej ode mnie pociechy, kiedy mi się udało mieć swojej własnej roboty dobrze wypalony garnek. Z niecierpliwości, aby czym prędzej przystawić go do ognia i ugotować w nim rosołu, nie dałem mu nawet dobrze wystygnąć".

Jest w tych rozdziałach „Robinsona Kruzoe" radość i entuzjazm z odniesionego zwycięstwa nad siłami natury, podziw dla rozumu i potęgi ludzkiego doświadczenia. „Rozum ludzki — zapisuje w swoim „Dzienniku" Robinson — kiedy udało mu się zrobić pierwszy stołek — jest substancją i początkiem wszystkich nauk matematycznych; stąd każdy człowiek sądząc zdrowo o rzeczach dających się obliczyć i wymierzyć, może przyjść z czasem do pojęcia i wykonywania dzieł mechanicznych". Słowa te dźwięczą porywającym optymizmem młodej burżuazji, która walczyła o uwolnienie nowych sił wytwórczych i postęp techniki.

Diderot w wielkich planszach dołączanych do Encyklopedii pokazywał rozwój rzemiosł i narzędzi. „Robinson Kruzoe" jest również encyklopedią w obrazkach, nauką o rzeczach, historią doskonalenia się rzemiosł. „Ileż to trzeba narzędzi! — wykrzykuje Robinson — do przyrządzenia i wyrobienia jednego tylko przedmiotu służącego nam ku pożywieniu, jakim jest chleb".

Robinson jest rybakiem, myśliwym i pasterzem, rolnikiem i rzemieślnikiem, pracą własnych rąk dochodzi do bogactwa. *Naturalny człowiek* filozofów budził nasz entuzjazm, dopóki po dwudziestu ośmiu latach nie stał się właścicielem kolonii. Samotny Robinson, zgodnie z przyrodzonymi i wiecznymi prawami natury ludzkiej, założył na bezludnej wyspie kapitalizm. Na bezludnej wyspie ludzkość odbyła swoją drogę od pierwotnego człowieka do kapitalisty.

Jest to napisane metodą obrazkową niemalże już dzieło Adama Smitha „O naturze i przyczynach bogactwa narodów". Robinson na bezludnej wyspie stał się burżuazyjnym modelem rozwoju gospodarczego, który przyjęła potem cała klasyczna ekonomia angielska. W „Robinsonie" Daniela Defoe znajdują się już w zalążku zarówno jej wielkie odkrycia jak i wielkie złudzenia. Trzeba go tylko do końca odczytać. Tak odczytał „Robinsona" Karol Marks w „Kapitale":

„Ponieważ ekonomia polityczna lubi robinsonady, odwiedźmy więc naprzód Robinsona na jego wyspie. Jakkolwiek jest on z natury bardzo skromny, to jednak ma pewne potrzeby, które musi zaspokoić. Musi więc wykonywać rozmaite użyteczne roboty, majstrować narzędzia, robić meble, oswajać kozy, łowić ryby, polować itd. Nie mówię tutaj nic o modlitwie i innych drobnostkach, gdyż Robinson znajduje w nich przyjemność i uważa działalność tego rodzaju za wypoczynek. Mimo różnorodności swoich zajęć wie on dobrze, że są to tylko różne formy działania, w których się przejawia ten sam Robinson, a więc rozmaite rodzaje pracy ludzkiej. Konieczność zmusza go do ścisłego rozdzielenia swego czasu między poszczególne roboty. To, czy pewne zajęcie zajmuje w ogólnej sumie jego pracy mniej lub więcej czasu, zależy jedynie od mniejszych lub większych trudności, które należy pokonać dla osiągnięcia użytecznego celu. Uczy go tego doświadczenie i nasz Robinson, który z rozbitego okrętu ocalił zegarek, księgę główną, pióro i atrament, jako rodowity Anglik zaczyna niebawem prowadzić księgi handlowe swego gospodarstwa. Jego inwentarz zawiera spis przedmiotów codziennego użytku, narzędzi niezbędnych do ich wytworzenia, wreszcie przeciętną długość czasu pracy poświęconej wytworzeniu określonej ilości różnych przedmiotów. Wszystkie związki, jakie zachodzą między Robinsonem a rzeczami składającymi się na jego bogactwo, które własną pracą stworzył, są proste i przejrzyste... A jednak wszystkie istotne czynniki wartości są już w nich zawarte".

Robinson w swoich podróżach i na swojej bezludnej wyspie odkrywa wielkie prawa: społecznego podziału pracy i wymiany usług. Robinson, który na bezludnej wyspie zapisuje sumiennie i dokładnie, że potrzebował aż czterdziestu dwóch dni pracy na ociosanie jednej deski, dochodzi samodzielnie do największego odkrycia angielskiej ekonomii politycznej. Robinson jest prawdziwym prekursorem Smitha i Ricarda. Robinson wie już, że każda wartość pochodzi z pracy i mierzy się czasem pracy zużytej do jej wytworzenia. Robinson na bezludnej wyspie odróżnia nawet, mówiąc w ścisłym języku ekonomii, pracę abstrakcyjną od pracy konkretnej, czas społecznie niezbędny do wytworzenia danego przedmiotu — od czasu, jaki on sam zużył na jego wykonanie. Robinson wie, że „dwóch zręcznych cieśli, w przyzwoite opatrzonych narzędzia, wyrobiłoby z tego samego drzewa najmniej sześć desek w ciągu połowy dnia", gdy on mozolił się nad ociosaniem takiej samej deski przez czterdzieści dwa dni.

Co więcej, Robinson na swojej bezludnej wyspie odróżnia nawet wartość użytkową od wartości wymiennej. „Nieraz myślałem sobie, dałbym garść złotego kruszcu za jakąś fajkę do palenia tytoniu albo za młynek do zboża, oddałbym nawet wszystko za nasienie rzepy lub marchwi angielskiej, warte dwanaście groszy, lub za garść grochu polnego lub fasoli, a nawet za butelkę atramentu".

Ale ferma, którą stworzył Robinson na bezludnej wyspie, wolna jest od wewnętrznych sprzeczności gospodarki towarowej. Dla samotnego Robinsona na bezludnej wyspie nie istnieje przeciwieństwo między wartością użytkową a wartością między pracą prywatną a jej społecznym charakterem. „Żadnej nie przywiązywałem wartości — czytamy — do takich rzeczy, które mi były nieprzydatne, i skoro tylko zaspokoiłem moje potrzeby, reszta była dla mnie obojętna. Gdybym ubił więcej zwierzyny niż zjeść mogłem, musiałbym ją rzucić psu lub drapieżnemu ptactwu; gdybym wysiewał więcej zboża niż na własną potrzebę, psułoby się, gniło i stęchlizną swą zarażało powietrze; drzewo nad potrzebę ścięte butwiałoby leżąc na ziemi bez użytku, bo go tylko potrzebowałem na ogień, żeby sobie jeść ugotować... Słowem, przyroda i doświadczenie nauczyły mnie, że najlepsze rzeczy są te, które nam służą do użytku, i największe zbiory na nic nam się nie zdadzą, kiedy nie potrafimy ich użyć... Nie miałem żadnej chęci do wyrabiania innych przedmiotów, prócz tych, co mi były nieodparcie potrzebne".

Dla burżuazyjnych ekonomistów wymiana towarowa była spotkaniem dwóch Robinsonów na kładce łączącej dwie bezludne wyspy. Samotny rybak i samotny myśliwiec wymieniali sprawiedliwie produkty, przywiezione w torbach z koziej skóry. Ale prawdziwy Robinson, kiedy z małej wioski przywiózł na jarmark płótno i garnki, uczył się powoli rzeczywistych praw rządzących kapitalistycznym rynkiem. Wiejski Robinson dostrzegał ze zdumieniem, że za płótno, na które zużył sto godzin pracy, otrzymał równowartość tylko dwudziestu godzin pracy, a garnków, które własnoręcznie ulepił, nikt nie chce kupować. Oto w sąsiedztwie powstała manufaktura i czas pracy społecznej niezbędnej do wyrobu takiego samego kawałka płótna zmalał pięciokrotnie. Oto kupiec z miasta przywiózł na jarmark nowe, fabryczne garnki. Prawdziwy Robinson żył nie na bezludnej wyspie, ale w burżuazyjnym społeczeństwie.

„Pojedynczy i odosobniony myśliwy czy rybak — pisze Marks we „Wstępie do krytyki ekonomii politycznej" — od których rozpoczyna Smith i Ricardo, należą do pozbawionych fantazji wymysłów XVIII wieku. Są to robinsonady, które bynajmniej nie są wyrazem reakcji przeciw wyrafinowaniu i powrotu do fałszywie pojmowanej natury — jak to się wydaje historykom kultury. Podobnie jak w najmniejszym stopniu nie opiera się na takim naturaliźmie „Contrat Social" Rousseau, który stosunki wymienne i łączność między jednostkami ludzkimi, niezależnymi od przyrody, wywodzi z umowy. To jest złuda, i to tylko estetyczna złuda — małych i wielkich robinsonad. Przeciwnie, robinsonady te są antycypacją „społeczeństwa burżuazyjnego", które przygotowywało się od XVI stulecia, a w wieku XVIII posuwało się wielkimi krokami ku swej dojrzałości. W tym społeczeństwie wolnej konkurencji jednostka występuje uwolniona od naturalnej więzi itd., które we wcześniejszych epokach historycznych uczyniły ją przynależną do określonego, ograniczonego konglomeratu ludzkiego".

Jest jakaś okrutna ironia, a zarazem i gorzka prawda historii, że samotny człowiek na bezludnej wyspie stał się obroną, uzasadnieniem i obrazem kapitalistycznego społeczeństwa. Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie był naprzód bohaterem młodej burżuazji, potem już tylko jej tragicznym złudzeniem.

Jan Kott

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Dwa bieguny realizmu

NIE mogę się nigdy oprzeć pokusie, by nie przeczytać każdej nowowydanej książki polskich klasyków. Choćbym ją przedtem po wielekroć czytał. Przyznam się, że świetnie mi się myśli o nowej literaturze nad tymi starymi książkami.

Teraz spędziłem parę ciekawych wieczorów nad „Dwoma biegunami" Orzeszkowej *), książką z roku 1893. Każdy czytelnik zorientuje się, że powstała po 1891. Po „Bez dogmatu" Sienkiewicza. Ta niezdarzona, artystycznie niedołężna, olśniewająca płytkością swoich aforyzmów książka robiła kiedyś wrażenie. Książka Sienkiewicza to było wydziwianie ponurego reakcjonisty nad światem. Powieść Orzeszkowej usiłuje być optymistyczną odpowiedzią na „Bez dogmatu". Zdradza tę zależność niesłychane podobieństwo narratora z „Dwu biegunów" i Płoszowskiego z „Bez dogmatu". To są ci sami ludzie, tylko inaczej oceniani przez oboje pisarzy. Identycznie w zasadzie rozwija się wątek erotyczny fabuły: niezdarzony romans marnego mężczyzny i wartościowej kobiety. (Seweryna przerasta Anielkę — ze względu na tendencję społeczną książki). Wiele mówi przejęcie trudnej dla Orzeszkowej, jak sama wyznaje w listach z tego okresu, formy opowiadania w pierwszej osobie.

Arystokracja — mówił Sienkiewicz — degeneruje się, bo nie dość się modli, roztkliwia bezmyślnie i zapomina o twardym egoizmie, bez katechizmu wydelikaca sobie nerwy. Arystokracja degeneruje się — odpowiada Orzeszkowa — ale mogłaby być inna, a program narodowy to nie jest wierność katechizmowi, tylko ratowanie polskiego stanu posiadania przez wzajemny kredyt.

„To jest jak?" — pyta czytelnik. Właściwie tak. Zacna, szlachetna, oddana pamięci ideologii 63 r. bohaterka „Dwu biegunów" panna Seweryna głosi zasadę, iż głównym zadaniem jest utrzymanie polskości, to jest ziemiańskiego stanu posiadania, polskich dworów i dworków na Białorusi. Dokonać tego można w ten sposób, że wszyscy będą żyć ascetycznie, a oszczędzone pieniądze będą wielcy właściciele pożyczać średnim, a średni małym. Ten system wzajemnych pożyczek — oparty na systemie moralnej surowości i wyrzeczeń— będzie środkiem złamania przemocy caratu, absolutystycznych form ucisku narodowego, niesprawiedliwości społecznej i klasowych przeciwieństw w feudalno-policyjnym państwie carów.

Aż dziw bierze, że taką książkę napisała autorka „Marty", „Dziurdziów", „Czternastej części" i „Nad Niemnem".

Cóż stało się z dawną realistką i pionierką postępu? Przecież przy wszystkich klasowych ograniczeniach mieszczańskiego realizmu i mieszczańskiego postępu była i realistką, i postępową pisarką. Widziała dobrze całkowity rozkład arystokracji, pozytywnych bohaterów szukała wśród chłopów albo wśród drobnej szlachty, spadkobierców rewolucyjnej warstwy początków XIX w. Przecież rozumiała społeczne i ekonomiczne podstawy wszelkiego ucisku klas, narodów, płci.

Postacie i sytuacje jej powieści wówczas nie były papierowe, życie nie było zmyślone — wszystko tchnęło prawdą, realizmem. Kryzys przyszedł u schyłku XIXw. Ten przełom w literaturze pozytywistycznej, literaturze ograniczonego postępu mieszczańskiego, można wówczas obserwować nie u jednej Orzeszkowej, ale również u Prusa i innych. Był historyk, który chciał go wyjaśnić psychologicznie — dojrzałością pisarzy, dojściem do harmonii wewnętrznej. Upadek pisarski — to harmonia! Autor „Lalki" wydający niedołężne „Dzieci" — to dojrzałość! Autorka zwartych, doskonałych, mocnych, celnych jak sztych szpady „Dziurdziów", pisząca bezradne, śmieszne, papierowe „Dwa bieguny" — to wyraz harmonii wewnętrznej!

Przyczyną przełomu był odwrót mieszczaństwa, klasy, którą pozytywiści wyrażali, z pozycyj postępowych, odwrót spowodowany rozwojem, krzepnięciem nowej postępowej siły społecznej — proletariatu.

Proletariat polski, u schyłku XIX w. już zorganizowany i wyposażony ideowo, staje do walki o prawdziwe wyzwolenie narodowe i społeczne, do walki z kapitalizmem i caratem. Ideolodzy mieszczańscy mają dwie drogi do wyboru: albo przejść do reakcji — albo uciec od rzeczywistości w kraj utopii i wbrew życiu, wbrew realizmowi głosić dawny program. Program wówczas już niewystarczający — program z lat młodości polskiego mieszczaństwa, program, który w połowie XIX w. był przy wszystkich ograniczeniach postępowy. Trzecia droga — droga socjalizmu — już nie byłaby mieszczańska!

A konsekwencje artystyczne tej dezercji? Oczywiście, odwrót od realizmu! Czytelnik „Dwu biegunów" ma wrażenie, że trzyma w ręku najbardziej zakłamane karty Żeromskiego, jakiś dwór Bodzanty z „Dziejów grzechu".

Orzeszkowa przestaje rozumieć i realistycznie wyjaśniać mechanizm zdarzeń rzeczywistych, dialektykę procesów społecznych. Wszystko na świecie zaczyna zależeć od woli, charakteru, szlachetności jednostki. Wspaniała panna Seweryna, gdyby miała dostateczną liczbę naśladowczyń, rzekomo zbawiłaby Polskę i zgładziła krzywdy społeczne zachowując istniejący ustrój i uzupełniając go osobistą zacnością. A jasne już wtedy było — dla Waryńskich a nawet dla Krzywickich i Nałkowskich — że naród polski oprze się niszczącej sile absolutyzmu carskiego tylko wyzwalając chłopa i robotnika, zrywając z feudalizmem, rewolucjonizując stosunki agrarne i własnościowe. Nie „ascetycznej" arystokracji feudalnej należało oddawać sprawę do rozwiązania, ale „Chamom". Nic dziwnego, że bliższa realizmu mogła być w tych warunkach historia fornalskiego synka Radka młodego Żeromskiego, aniżeli żałosny romans z Polską panny Seweryny, posiadaczki klucza majątków na Białorusi.

Ale — przyszło mi na myśl — uzależnienie wszystkiego od cech wewnętrznych jednostki, od jej osobistych walorów jest papierową, antyrealistyczną utopią u Orzeszkowej — a dlaczego nie ma charakteru utopijnego, dość na pozór podobne postawienie sprawy, we współczesnej powieści radzieckiej? Na człowieka i jego walory osobiste stawia przecież Polewoj w „Powieści o prawdziwym człowieku" i Bek w „Szosie wołokołamskiej" i tylu innych. Bo może tak być w literaturze, która mówi o rzeczywistości socjalistycznej. Socjalizm jest dziedziną prawdziwej wolności. W kapitalizmie — jak dawno mówili klasycy marksizmu—własny wytwór panuje nad człowiekiem. To stawia obiektywne granice jego psychice. W socjalizmie jednostka osiąga pełnię swoich możliwości. W tej rzeczywistości wszystko jest w mocy ludzkiej wielkości, ludzkiego charakteru, ludzkiej godności.

Rzeczywistość socjalistyczna — to rzeczywistość najistotniej humanistyczna. Pisarz — będąc realistą — może przedstawiać świat jako wolne dzieło ludzkie.

Ten element wolności człowieka urzeczywistnia się również w zgodnej z historią walce o postęp, walce o socjalizm.

Z pewnymi zatem ograniczeniami i nasza literatura odtwarzająca walkę o socjalizm może przedstawiać przynajmniej bojowników postępu jako wolnych twórców świata. Może walczyć o piękne charaktery, może stawiać na człowieka, na jednostkę.

Pisarze współcześni są szczęśliwsi od starej Orzeszkowej. Oby mieli odwagę jej młodości.

Stefan Żółkiewski

*) *Eliza Orzeszkowa.* Dwa bieguny. „Książka i Wiedza". 1949. Tom 26 zbiorowego wydania dzieł.

---

rze niemyte, obszarpane odzienie. Parli naprzód, ciągle naprzód, słyszałem urywane zdania: Niemcy już są przed nami, już przeszli Wisłę, motocykle krążą wzdłuż dróg, wypadają z lasów waląc z karabinów maszynowych w idących. Spojrzałem na Szustra pytając go niemo spojrzeniem, czy to prawda.

Wziął mnie za obie klapy rozpiętej marynarki i przyciągnął ku sobie:

— Uciekamy, co?

— Nie uciekamy, wracamy.

— Wracamy? Udawał zdziwienie: wracamy? Kto to: my?

— No, my. Ja i pan.

Mogłem krzyknąć, że mam przed sobą szpiega, który kilka dni temu nosił jeszcze mundur polskiego żołnierza, a teraz, zrzuciwszy mundur sieje fałszywe wieści o przedarciu się Niemców, mogłem, wołając ku mijającym nas żołnierzom zwrócić im uwagę, że powinni go wylegitymować, ustalić, gdzie podział mundur, broń, skąd wziął cywilne ubranie...

Zbliżywszy swoją twarz ku mojej szepnął złowrogo:

— Jedno słowo, a krzyknę, że przychwyciłem komunistę. Słyszysz? Jedno słowo, i twój koniec!

Puścił moje klapy, ale tak, że jednocześnie odepchnął mnie od siebie.

Kto był w tym tłumie silniejszy, on czy ja? Czyje zawołanie podchwycono by jak wezwanie do rozprawy doraźnej, natychmiastowej i śmiertelnej? Moje czy jego? Znów widziałem owego chłopca klęczącego u krzewu, potem tamtego szpiega, który idąc wzdłuż pociągu wypełnionego ludźmi krzyczał: niech żyje Francja i Anglia, bij Żyda! Byłem komunistą, z PKU wyrzucono mnie, nie byłem godny bronić zagrożonej ojczyzny, on był polskim narodowym socjalistą i mógł spokojnie zdradzać i szkodzić.

— Możesz wrócić ze mną. Przeszedł na ty. Nie masz co uciekać. Niemcy są tam. Wskazał kierunek, dokąd zmierzałem razem z tłumem.

Jeszcze się mnie obawiał. Chciał mnie mieć w pobliżu, aby upilnować, czy nie powiem nikomu, kogo mam przed sobą. Nie wiedział, że jestem bezsilny.

Prowadził do jakiegoś zabudowania. W podwórzu stała bryczka zaprzężona w dwa mocne konie. Na bryczce leżały jakieś worki.

— W nocy wracam, możesz ze mną jechać.

Odchodziłem złamany i bezradny. Zapadał wieczór. Nad domami unosił się powolny dym, rozpraszając się pod spokojnym niebem. Jak by tu dobrze było żyć pomyślałem. W opłotkach połyskiwały zielonkawe bajora, z jednej uliczki na drugą przechodziłem po kładkach, które wiodły prosto w trawy wilgotniejące już i wonne. W otwartych ciemnych oknach suszono bieliznę, jakieś dzieci popłakiwały przedsennie, marudziły, donośne głosy dorosłych uspakajały, łajały.

Słyszałem zawodzenie: ukradli siano, ukradli siano...

W podrygującym tłumie prącym naprzód tworzył się zarys przeciwnego nurtu. Po krańcach kotłowało się starcie dwóch kierunków utworzonych przez ludzi. To było ledwo widoczne. Gdy z rozległych łąk w tłum poczęły wpływać powolne konie, wlokące furmanki, ich kiwające się łby wytyczyły odwrót. Przed nami byli Niemcy. Przede mną była łuna.

Wracałem. Szedłem teraz szosą razem z ludźmi, końmi, wozami. W rowach leżały jeszcze jakieś połamane wozy, samochody porzucone w pośpiechu, ktoś zapobiegliwy zdejmował ogumienie. Wzdęte konie ukazywały rozprute brzuchy, nogi wyrzucone nieruchomo w niebo. Padlina straszyła oślizgłością skóry, odorem, wyłupiastym ślepiem oblepionym rojami much. Jakieś domki i chaty przerażały czernią dopalających się głowni, ogień jeszcze się tlił, dym powłóczył nisko. Na rynkach większych miasteczek stały zwarte kolumny samochodów niemieckich — czworoboki, które zamykały dostęp do domów, do sklepów, w których już zapewne nic nie było...

Dla Niemców nie byłem jeszcze Żydem ani komunistą, mogłem lec od ich kuli, tak jak padały tysiące innych ludzi tylko dlatego, że byli mieszkańcami tego kraju i mówili innym językiem. Widziałem tych rozstrzeliwanych i palonych żywcem. Za Wolbromiem, na szosie najechała na mnie kolumna ciężarowych samochodów, szedłem wzdłuż tej kolumny, brzegiem szosy pod młodymi drzewkami. Samochody jechały powoli, stali w nich młodzi chłopcy, żołnierze.

— Komm her!

Jeden z nich wzywał mnie do siebie. Ruszyłem, idąc tuż obok samochodu. Trzymał w ręce pistolet, przechylił się przez niską poręcz samochodu i przyłożywszy mi lufę do karku kazał iść obok posuwającego się wozu. Jego koledzy śmiali się głośno, zachęcając go do pociągnięcia za cyngiel: los! los! Szedłem, ciągle szedłem czując chłód lufy na karku, uważając jednocześnie, aby nie wpaść pod koła samochodu. Ilekroć nachodziłem na wyboje lub niewielkie wzniesienia terenu, tyle razy lufa uwalniała mnie na chwilę od swego dotyku, aby po chwili, na wyrównanym już terenie trafić ponownie w kark. Obok szli ludzie odwracając głowy, gdy słyszeli śmiech żołnierzy, ale widząc mnie odwracali się szybko, aby na mnie nie patrzeć. Widzieli, podobnie jak ja, ludzi leżących wzdłuż dróg twarzą ku ziemi z małym otworkiem w karku, który nawet nie krwawił. Po śmiertelnym strzale pojawiał się niewielki krążek rdzy, czy opalenizny powstałej po strzale oddanym z milimetrowej odległości?

Samochody skręciły w bok i szedłem dalej, czując w dalszym ciągu chłód lufy na karku, którego nie śmiałem dotknąć. Byłem jak ów nieszczęśnik, który dostrzegłszy obumieranie kończyn wbija w nie szpilkę, aby móc z radością stwierdzić, że jeszcze odczuwa ból: odczuwa ból a więc raduje się.

Pod wieczór zbliżałem się do Pilicy. Miałem tam jakąś rodzinę, dalekich krewnych, których nigdy nie widziałem, i pomyślałem, że wpuszczą do domu, podadzą kawałek chleba, przenocują. Szosa biegła wśród łagodnych wzgórz. Na jednym z nich tkwił nietknięty dom o otwartych drzwiach. Przed drzwiami coś się czerniło, dymiąc po wierzchu. Podchodząc bliżej rozeznałem. Dogasała Święta Rodzina. Mężczyzna, kobieta i dziecko lgnące do kolan matki. Jakiś Józef, Maria i Dzieciątko spaleni żywcem, którzy zachowali gest chodu, kształt bycia w drodze, jeszcze nie marszu, ale już nie tkwienia w miejscu. Zachowali cały, pełny ludzki kształt, tylko w miejscu, gdzie wiatr zwykł był rozwiewać włosy, snuł się powoli płowy dymek, jakaś strużka dymu wlokąca się z niewidocznych pęknięć czerepów. Byli szarzy. Twarze szare, ręce szare, odzienie szare. Dom był cały, nietknięty, i zrozumiałem. Wyprowadzili ich z domu na wzgórzu, oblali benzyną i podpalili. Jeszcze chcieli biec, płonęli w niedokończonym pochodzie.

Piszę te słowa 15 sierpnia, za dwa tygodnie minie 10 lat od tamtego wydarzenia, i ilekroć mowa o wojnie, widzę tamtą Świętą Rodzinę, która nie zdołała ujść przed oprawcami. Dziesięć lat! Przeciwko cieślom, górnikom, hutnikom, oraczom, przeciwko ludziom spokojnej pracy, przeciwko tym, co podobnie jak ja teraz, o późnej wieczornej godzinie siedzą nad książką, nad kartką papieru czyniąc żmudne obliczenia pod nowe domy, mosty, ulice, szpitale, szkoły, fabryki, przeciwko tym, co umyli ręce po wyczerpującej pracy w laboratoriach, w których się rodzą nowe lekarstwa, nowe szczepionki — przeciwko ojcom i matkom, przeciwko uorodnej młodzieży i pomarszczonemu noworodkowi, który krzykiem wita świat, usiłują podnieść uzbrojoną rękę ci, dla których mord jest zawodem a zabijanie najbardziej godną chwały czynnością błogosławioną przez świeckich i nie świeckich władców tej ziemi.

*

W domu moich krewnych przyjęto mnie chłodno, ale powiedziałbym: rzeczowo. Podano mi wodę, umyłem się, zjadłem ciepłą strawę i z braku łóżek— dom był przepełniony bliskimi, którzy podobnie jak ja zatrzymali się w czasie wędrówki w tym domu — urządzono mi posłanie na podłodze. Spałem zaledwie kilka godzin, była czwarta nad ranem, gdy mnie obudził rumor i powszechne poruszenie. Moi krewni zwijali sklep z jakimiś materiałami, który się mieścił na parterze. Wynosili ze sklepu do mieszkania, krążąc nieustannie po ciemnych, drewnianych schodach, swoje materiały — mówili: łokciówka, w przekonaniu, że ukryją przed oczyma wroga część swojego majątku. Nieszczęśni nie wiedzieli, że już nic do nich nie należy. Nawet życie. Napisałem bez namysłu — nawet życie, bo ono było chyba najmniej warte w oczach najeźdźców. Ukrywali towary w mieszkaniu, w szafach, za kotarami, modląc się do swego żydowskiego Boga. Pomagałem im w tych czynnościach, bez modlitwy. Któryś z synów pytał swego ojca, siwiejącego już człowieka: tato, to my im oddamy sklepy?

— Tak, synu, ale jak Bóg chce, to można żyć bez jednej ręki.

d. c. n.

Stanisław Wygodzki

STANISŁAW POWOŁOCKI

Z radzieckich doświadczeń świetlicowych

Jednym z najbardziej uzewnętrznionych przejawów pracy świetlicowej jest działalność świetlic na odcinku teatralnym. A że odcinek ten najbardziej zazębia się z codzienną pracą twórczą powstającej nowej sztuki teatralnej, gruntowne poznanie go przez ludzi teatru jest konieczne. Tym bardziej, że właśnie ten odcinek jest stosunkowo najmniej znany, przynajmniej od „wewnątrz", wskutek czego wzbudza najwięcej dyskusji. Zagadnienie świetlicowych zespołów teatralnych, będących bezsprzecznie ważnym czynnikiem upowszechnienia czy raczej umasowienia kultury, staje się coraz bardziej istotne.

W zakresie działalności oraz nastawienia i form pracy zespołów świetlicowych ogromną wagę posiada doświadczenie zdobyte w tej dziedzinie przez Związek Radziecki, na terenie którego działa gęsta i niezwykle twórcza sieć t.zw. klubów czyli świetlic rozwijających ożywioną działalność we wszystkich kierunkach pracy świetlicowej, zwłaszcza zaś na odcinku teatralnym.

Właśnie w Związku Radzieckim powstały i skrystalizowały się najczystsze formy pracy świetlicowej, które stanowią jeden z najważniejszych czynników tworzących nową kulturę socjalistyczną. Zapoznanie się z olbrzymim dorobkiem ZSRR w tej dziedzinie, zaznajomienie się z ogromem doświadczenia zdobytego przez świetlice radzieckie, jest szczególnie ważne i wskazane zwłaszcza obecnie, gdy stoimy wobec zagadnienia konkretnej realizacji pracy świetlicowej w jej najdoskonalszych i najczystszych formach, bo jedynie takie formy stanowią rację bytu samej świetlicy jako ważkiego współczynnika tworzącej się u nas kultury ludowej, socjalistycznej.

Jednocześnie poznanie drogi odbytej przez świetlice radzieckie, zaznajomienie się z poszczególnymi etapami ich rozwoju, nie tylko ułatwi nam stworzenie własnych form pracy zespołów świetlicowych, lecz uchroni i zabezpieczy przed błędami.

Już w pierwszych miesiącach po rewolucji rzucone przez władzę radziecką hasło upowszechnienia i umasowienia kultury znalazło realne odbicie w konkretnych posunięciach w tym zakresie. Jednym z realizatorów idei umasowienia kultury, zbliżenia jej zdobyczy do najszerszych mas, udostępnienia im skarbców duchowych i kulturalnych wartości, był Włodzimierz Majakowski.

Lenin pierwszy wskazał na właściwe formy umasowienia kultury, gdy już w pierwszych miesiącach po Rewolucji Październikowej używał między innymi do stworzenia gęstej sieci ośrodków szerzenia kultury na terenie fabryk, instytucji, urzędów, organizacji. Już wtedy naszkicowano wytyczne pracy klubów robotniczych w zakresie działalności teatralnej, podkreślając, że działalność taka, wskutek swoich specyficznych właściwości, jest jedną z najcelowszych form prowadzących do upowszechnienia kultury i podniesienia poziomu umysłowego mas.

W roku 1918 na konferencji działaczy kulturalnych i przedstawicieli sfer artystycznych szczegółowo wyjaśniono, na czym właściwie polega zadanie teatrów świetlicowych, w jakim kierunku powinna iść i rozwijać się ich działalność. Jednocześnie przeprowadzono ścisłą linię podziału między teatrem t.zw. ludowym, zawodowym, amatorskim — a świetlicowym.

„Teatr ludowy w carskiej Rosji — czytamy w piśmie „Widz Robotniczy" z r. 1918 (nr. 36, grudzień) w sprawozdaniu ze wspomnianej konferencji — był jednym z najwulgarniejszych prymitywów sztuki scenicznej, obliczonej wyraźnie na t. zw. „plebs" i celowo nastawionej na łatwiznę myślową oraz teatralną. Taki teatr, z jednej strony, odgrywał rolę niewybrednej rozrywki dla szerokich mas, z drugiej zaś — był osobliwym instrumentem w ręku „prawomyślnie liberalnych" inteligentów lub filantropów z kategorii nieszkodliwych z punktu widzenia carskiej „ochranki" idealistów lub znudzonych nieróbstwem pań z burżuazyjno-mieszczańskiego środowiska, uważających podobny teatr za jeden ze sposobów „pójścia w lud" i zbliżenia się do niego. Taki teatr ludowy już w samym założeniu dzielił kulturę teatralną na prymityw teatru dla „plebsu" oraz prawdziwą sztukę dla uprzywilejowanych „wybrańców". Naszym zadaniem jest stworzenie wspólnych dla wszystkich form i treści scenicznych. Wzorem tych wzorów i treści powinien być nowy teatr zawodowy, do stworzenia którego dążymy i który będzie na zewnątrz i na wewnątrz wyrazicielem duchowego życia najszerszych mas, gdyż wspólnie z nimi będzie tworzył nowe, powstające życie. Teatr świetlicowy nie jest i nie może być teatrem amatorskim w pełnym znaczeniu tego słowa, gdyż sztuka teatru amatorskiego idzie przede wszystkim i jedynie tylko w kierunku ściśle teatralnym, balansując na pograniczu zawodowości i nieraz nieudolnego oraz śmiesznego z racji wygórowanych ambicji rzemieślnictwa. Głównym i jedynym zadaniem teatru świetlicowego jest podniesienie ogólnego poziomu kulturalnego mas pracujących, podniesienie odpowiedniej wysokości ich wymagań estetycznych, rozszerzenie ich horyzontów. To z jednej strony, z drugiej zaś — teatr świetlicowy jest nie tylko jednym z środków szerzenia oświaty, lecz stanowi zarazem czynnik wychowawczy w politycznym a nie tylko dydaktyczno-oświatowym znaczeniu tego słowa. Jest to jedna z najbardziej skutecznych form oddziaływania na masy, w ramach której masy odgrywają rolę zarówno podmiotu, jak przedmiotu. Dlatego właśnie teatr świetlicowy nie jest i nie może być uważany za teatr amatorski. Jego ideałem nie jest zbliżenie się do form zawodowych, ścisłe oddanie tych form. Teatr świetlicowy wychowuje i kształci masy, podnosząc poziom ich wymagań oraz wiadomości w wewnętrznym procesie rozwoju samych mas za pomocą form teatralnych.

Stąd właśnie — szeroki wachlarz zainteresowań teatru świetlicowego. Od godnych i koniecznych do poznania dzieł klasycznych, do najbardziej celowych utworów oddających w pełni to, czym żyją masy w chwili bieżącej. Nie chodzi w tym wypadku o formy i poziom wykonania — ważna jest wewnętrzna treść teatru klubowego i jego pracy, stopniowe i celowe, umiejętne i planowe przeprowadzone podniesienie poziomu tej treści coraz wyżej. Oczywiście sceniczny poziom wystawianych utworów nie może obniżać i ośmieszać ich wartości. I tu właśnie na pierwszy plan wysuwa się znaczenie i rola kierownictwa podobnych teatrów, a jednocześnie zarysowuje się profil pewnej współpracy teatru zawodowego z teatrem świetlicowym. Lecz taka współpraca w żadnym wypadku nie powinna iść wyłącznie w kierunku fachowego zbliżenia przedstawienia klubowego do form zawodowych. Będzie to znów amatorszczyzna, której należy unikać ze zrozumiałych względów. Współpraca teatru zawodowego z zespołem świetlicowym powinna iść w kierunku zaszczepienia klubom zainteresowania zagadnieniami teatru, bo takie zainteresowanie, narówni z innymi, przyczyni się do rozszerzenia horyzontów, do podniesienia poziomu wymagań scenicznych.

W zakresie pomocy fachowej rola teatru zawodowego sprowadza się do „wygładzenia" scenicznej pracy świetlicowej, odszukania najbardziej ideowych dla tej pracy form teatralnych".

Pozwoliliśmy sobie na tak długi cytat, gdyż właściwie mówiąc, jest w nim zawarty cały zasadniczy program ideowy radzieckiego teatru świetlicowego. Nim jednak doszło do całkowitego zrealizowania tego programu w praktyce, świetlice radzieckie przeszły przez różne i nieraz burzliwe etapy rozwojowe.

Przeciwko wysuniętej przez czołowych działaczy kultury radzieckiej koncepcji szerokiego wachlarza zainteresowań sceny klubowej, zwłaszcza w zakresie repertuaru, z biegiem czasu wystąpili niektórzy przedstawiciele zawodowego teatru, literatury, teoretycy sztuki, rekrutujący się przeważnie z kół zbliżonych do tzw. proletkultu i epigonów formalistycznych zasad burżuazyjnego ujęcia „sztuki dla sztuki". Negując w gruncie rzeczy kulturalne i wychowawczo-oświatowe znaczenie pracy zespołów świetlicowych, nie doceniając właściwej roli sceny świetlicowej w dziele wychowania nowego człowieka, usiłowali oni zepchnąć świetlice z powrotem na tory teatru amatorskiego lub raczej dawnych form teatru ludowego, zewnętrznie tylko doczepiając do tych form pewne agitacyjne hasła.

Koncepcje teatru ludowego o szerokim zasięgu oddziaływań i wpływów na szerokie rzesze szczególnie ostro zwalczał słynny teoretyk pseudorewolucyjnych a faktycznie na wskroś burżuazyjno-formalistycznych poglądów — Annienkow. Twierdził on, że wciąż rosnąca sieć teatrów klubowych powinna dążyć do stworzenia własnego repertuaru. Według jego wywodów, zasadą takiego repertuaru miały być nieskomplikowane formy teatru amatorskiego o propagandowo-agitacyjnym wydźwięku dostosowanym do bieżącej chwili. Wywody Annienkowa znalazły poparcie Meyerholda, który — mimo zewnętrznego radykalizmu wysuwanych przez siebie haseł — w twórczości swojej był typowym wyrazicielem burżuazyjnego formalizmu i kosmopolitycznych, oderwanych od ludu pseudonowatorskich koncepcji sztuki teatralnej. Usiłując w ramach teatru zawodowego stworzyć pod osłoną pseudorewolucyjnej frazeologii sztukę „dla wybrańców", Meyerhold w odniesieniu do działalności teatrów klubowych szczególnie ostro sprzeciwiał się wystawianiu przez świetlice utworów klasycznych lub współczesnych, zaczerpniętych z repertuaru teatru zawodowego, zalecając jednocześnie swoisty nawrót do nieco zmodyfikowanych form dawnego teatru ludowego. W istocie rzeczy szło mu głównie o zwalczenie wszystkiego, co mogłoby wpłynąć niekorzystnie na propagowaną przezeń sztukę sceniczną, opartą o niezrozumiałe dla szerokich mas koncepcje formalistyczne.

Dopiero w roku 1937 Andrzej Zdanow wystąpił przeciw Meyerholdowi, określając jego błędne koncepcje jako antyludowe i antyrewolucyjne. Jednocześnie Zdanow ostro zaatakował stanowisko Annienkowa i Meyerholda w kwestii teatrów ludowych, przypominając istotną rolę i znaczenie świetlicowej pracy teatralnej, skrystalizowanej już w pierwszych latach rewolucji.

Walka z Meyerholdem i jego wpływami, zakończona dopiero w roku 1939, przyczyniła się również do całkowitego oczyszczenia ostatecznie zdefiniowanej koncepcji twórczej teatrów klubowych. Dokonał tego Żdanow, podkreślając, że „teatr klubowy jest przede wszystkim narzędziem szerzenia kultury i oświaty za pomocą form scenicznych. Zadaniem jego nie jest bynajmniej tworzenie kadr amatorskich, lecz podniesienie poziomu myślowego najszerszych mas ludowych, wychowanie ich we właściwym duchu socjalizmu i kultury socjalistycznej. Teatr klubowy jest jednocześnie czynnikiem upowszechnienia i umasowienia prawdziwej kultury teatralnej. Na tym polega różnica między teatrem klubowym a łatwizną ideową t.zw. dawnego-teatru ludowego, dającego tanią niewybredną rozrywkę i tworzącego trzeciogatunkową sztukę. Nie zgadza się to z duchem Rewolucji, wprowadza bowiem podział sztuki teatralnej na teatr dla mas i teatr dla wybranych".

Jednocześnie, według Zdanowa, który zabrał w tej kwestii głos jeszcze w r. 1940, niezależnie od wystawiania sztuk z repertuaru klasycznego lub współczesnego, w teatrach klubowych powinien również powstawać repertuar własny, odzwierciedlający samorodną twórczość robotników i chłopów. Szczególnie mocny nacisk położył Zdanow na zagadnienie współpracy teatrów zawodowych z teatrami klubowymi oraz właściwego doboru kadr kierownictwa świetlicowego. „Teatry zawodowe — mówił — powinny sprawować patronat nad scenami klubowymi. Patronat taki powinien iść nie tylko w kierunku wyszukania właściwych form scenicznych dla świetlicy oraz fachowej pomocy teatralnej, lecz przede wszystkim musi uwzględnić teoretyczne, systematyczne i dobrze przemyślane stopniowe zaszczepianie szerokim masom socjalistycznej kultury, radzieckiej sztuki oraz radzieckiego teatru. Mówił o tym w swoim czasie Stanisławski, gdy wzywał najlepsze teatry i najbardziej znanych działaczy naszych teatrów, do pełnienia funkcji patronów nad klubami robotniczymi — wychodząc z założenia, że praca na terenie świetlicy wymaga nie tylko zaostrzonej fachowości, lecz odpowiednio wysokiego stopnia wiadomości w zakresie politycznego i społecznego wychowania mas."

Obecnie teatry klubowe w ZSRR są poważnym czynnikiem upowszechnienia kultury. Myślą przewodnią teatralnej pracy świetlicowej są wywody Żdanowa, podkreślające, że nie chodzi o to, czy sztuka będzie grana na poziomie teatru zawodowego czy też nie, ale o to, *jaka* sztuka będzie grana, jakie słowo będzie padało ze sceny. Dobra bowiem sztuka o postępowych założeniach ideologicznych zawsze będzie oddziaływała na widza, niezależnie od tego, czy będzie grana w większym czy w mniejszym stopniu doskonale.

Świetlice radzieckie grają obecnie sztuki autorów klasycznych oraz współczesnych. Każda dobra sztuka, grana przez teatr zawodowy, wcześniej czy później, znajduje się na deskach sceny robotniczej. Teatr świetlicowy jest często osobliwą podporą teatru zawodowego, który wpierw — spełniając patronat na terenie świetlicowym — opiekuje się wystawieniem sztuki, zanim przeniesie ją na scenę zawodową. Są to oczywiście dość sporadyczne wypadki. Z reguły w ramach współpracy teatrów zawodowych z świetlicami repertuar przechodzi przez ogniową próbę dyskusji, w której narówni z fachowcami, przysłanymi przez teatry patronujące zabierają głos świetlicowcy, inspirując nieraz dramaturga i reżysera, podsuwając m bliskie życiu człowieka pracującego aktualne problemy rzeczywistości.

Atmosfera taka stwarza również wysoce sprzyjające warunki dla rozwoju dramatopisarstwa wśród samych świetlicowców. Właśnie w ten sposób powstało niedawno, na terenie świetlic uralskich bardzo udane przedstawienie p.t. „Tam, gdzie nie było zaciemnienia". Sztuka ta, stworzona przez siły świetlicowe i opowiadająca o bohaterskiej pracy robotników podczas wojny, ostatnio przedostała się na liczne sceny zawodowe, gdzie jest grana z niesłabnącym powodzeniem.

Stanisław Powołocki

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

GRZEGORZ BIERIOŻKO: — NOC DOWÓDCY. Przekład z rosyjskiego N. Stanisławskiego. Okładkę projektował Mieczysław Berman. Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1949 r., str. 259, 1 nl.

Centralną postacią wojennej opowieści Bieriożki jest stary żołnierz frontowy, komunista Riabinin, pełniący w czasie walk pod Wiaźmą (rok 1942) wysokie funkcje dowódcy armii. Riabinin powziął szaleńczy na pozór plan wykorzystania roztopów wiosennych w celu natarcia na Niemców, odepchnięcia ich i wyprostowania na znacznym odcinku linii frontu. Ten plan wymaga szczególnego męstwa i ofiarności od rzuconych do boju oddziałów, zaś od dowództwa — wielkiego opanowania, energii i śmiałości decyzji.

W toku ofensywy, generał Riabinin zostaje poważnie ranny w nogę. Nie składa jednak dowództwa, nie pozwala się ewakuować na tyły, w szpitalu polowym pierwszej linii zakłada swą kwaterę główną i nie dopuszcza do siebie lekarzy, którzy przeszkadzają mu tylko w wydawaniu niezbędnych rozkazów i dyspozycji.

Ofensywa Riabinina osiąga zamierzone cele. Przemagając słabość i cierpienia fizyczne, dowódca armii trwa na posterunku. Lecz wygrywając bitwę, Riabinin przegrał życie: nieopatrzona należycie rana powoduje gangrenę, na którą nie ma ratunku.

Ten epizod bojowy, dla którego w historii Armii Czerwonej znalazłby się może autentyczny pierwowzór, opowiedział Bieriożko w sposób żywy i bezpośredni nie odbierając bohaterowi opowieści — mimo jego spiżowych zarysów — cech głęboko i prawdziwie ludzkich. Riabinin jest, gdy trzeba, twardy, nieustępliwy, bezwzględny, ma prawo jednak być takim, gdyż — wymagając wiele od innych, najwięcej wymaga od siebie. Pod skorupą tej bezwzględności kryje się jednak serce dobre i wrażliwe, choć bynajmniej nie czułostkowe. Gen. Riabinin — to człowiek prosty i prostoduszny, bogaty jednak w życiową wiedzę i doświadczenie. Na froncie, w walce z faszystowskim wrogiem zna tylko konieczność obowiązku i — spełniając ten obowiązek — potrafi wznieść się, nie zauważając tego bynajmniej, do wyżyn heroizmu.

Wielkość duchowych wymiarów Riabinina usuwa nieco w cień inne postacie opowieści Bieriożki, lecz i wśród nich znajdziemy szereg „prawdziwych ludzi" radzieckich, godnych — w wyznaczonych im rolach bojowych — swego bohaterskiego dowódcy (por. Gorbunow, komisarz Łukin, młody żołnierz Ułanow i in.).

„Noc dowódcy" należy do tych bardzo licznych, radzieckich książek wojennych, w których bystrość realistycznej obserwacji, żywość opowiadania i rzetelne poczucie patriotyzmu składają się na interesującą, zasobną w wartości poznawcze całość. Niekrasow, Simonow, Gorbatow, Leonow, Bieriożko i wielu innych uczą nas poznawać kim jest „człowiek radziecki" i do jakich niezwykłych czynów jest zdolny, gdy chodzi o obronę socjalistycznej ojczyzny, o jej przyszłość, wielkość i chwałę.

Polski przekład „Nocy dowódcy" całkiem poprawny.

bd

STANISŁAW SZENIC

Bettina Arnim i Polacy*)

„Helmut von Gerlach Gesellschaft" w Berlinie (sektor radziecki), instytucja tak nazwana dla uczczenia pamięci wybitnego działacza na polu ustalenia przyjaznych stosunków między Polską a Niemcami w dobie republiki weimarskiej i stawiająca sobie za zadanie pracę nad kulturalnym, gospodarczym i politycznym zbliżeniem z nową Polską, wydała ostatnio wyjątki z pism jednej z gorących rzeczniczek sprawy polskiej w Niemczech, przed stu laty, — Bettiny Arnim. Bettina Arnim, jedna z ciekawszych postaci niemieckiego romantyzmu, siostra Clemensa Brentano i żona Achima Arnim — dwóch znanych poetów tego okresu — głośna m. in. jako autorka książki o korespondencji, którą we wczesnych latach swego życia prowadziła z Goethem („Korespondencja Goethego z dzieckiem"), była jedną z czołowych bojowniczek ruchu Młodych Niemiec i w utworach takich jak „Ta książka należy do króla" (1843) oraz „Rozmowy z demonami" (1852) domagała się reform społecznych zwalczając gorąco niemiecką politykę nacjonalistyczną i zaborcze tendencje rządu pruskiego. W 1846 roku wydała ona pismo ulotne, skierowane przeciwko pruskiemu ministerstwu sprawiedliwości. „Polacy są narodem bohaterów, dlatego Francuzi nazywają ich swymi braćmi... Wychowywano nas od dzieciństwa w nienawiści do Polski..." pisała tam, omawiając stanowisko kół oficjalnych w kwestii polskiej. O stosunkach panujących w Księstwie Poznańskim mówiła w takich słowach: „Polska właśnie, którą kłamliwie przedstawia się narodowi niemieckiemu jako kraj zdradliwy, właśnie Polska przyjęła gościnnie na swoje terytorium goniącą za zarobkiem ludność niemiecką i umożliwiła jej wzbogacenie się... Czyżby teraz goście chcieli mścić się na tych, którzy w łagodności swej nie odmawiali im niczego, co korzyści przynosi..."

Wydane obecnie wyjątki z pism Bettiny Arnim pochodzą z rękopisów i notatek pisarki świeżo odnalezionych w Wiepersdorf, rodzinnym majątku Arnimów, przez Ruth Krenn, badaczkę współczesną opracowującą jej literacką spuściznę. Omawiają one polsko-niemieckie stosunki polityczne w okresie wiosny ludów. Rękopisy te nie były dotąd opublikowane, najwidoczniej z uwagi na propolskie stanowisko.

Książkę poprzedził przedmową wybitny ekonomista i badacz ruchu robotniczego w radzieckiej strefie Niemiec profesor Jürgen Kuczyński, dając podobnie jak Ruth Krenn w posłowiu, krótki zarys współczesnej wystąpieniom Bettiny Arnim akcji postępowych jednostek w Niemczech, skierowanej przeciwko oficjalnej antypolskiej polityce Niemiec. Prof. Kuczyński przypomina, że w ubiegłym stuleciu stosunek przedstawicieli jakiegoś narodu do Polski był probierzem ich moralności i charakteru, ich postępowości — tak jak obecnie takim probierzem jest stosunek do Związku Radzieckiego. Polska została wykreślona z karty Europy przez trzy ostoje reakcji, przez Prusy, Austrię i Rosję. Walka Polski z tymi państwami była więc walką z reakcją i winna była uzyskać poparcie wszelkich sił postępowych całego świata.

Prof. Kuczyński podkreśla konieczność zgodnego współżycia Niemiec z największym z sąsiadujących z nimi narodów słowiańskich, w oparciu o szacunek dla olbrzymich osiągnięć demokratycznej Polski i uczynienia wszystkiego celem wyplenienia niechęci niemieckiej w stosunku do Polaków. Przyspieszyć taki rozwój powinno wydobycie z niepamięci głosów niemieckich, potępiających oficjalną niemiecką politykę podboju i wynarodowienia Polski.

Zaczyna od przypomnienia bardzo nielicznych zresztą głosów w Niemczech, przeciwstawiających się pierwszemu rozbiorowi Polski jak głos jednego z poetów „Sturm und Drang Periode", Chrystiana Fryderyka Daniela Schuberta. W wierszu, który dał początek tak licznym później wierszom o Polsce (Polenlieder), opłakuje on los nieszczęśliwej Polski i kończy okrzykiem, „że jednak Polska nie zginie!" Takie wystąpienia mnożą się w czasach drugiego i trzeciego rozbioru. Zachariasz Werner tworzy „Pieśń bojową Polaków pod dowództwem Kościuszki". A.G.F. von Rebmann broni interesów Polski w swych pismach politycznych i powieściach, podobnie jak powieściopisarz Juliusz von Voss. W literaturze niemieckiej zyskuje obywatelstwo postać „szlachetnego Polaka". Gentz piętnuje zabór Polski jako zbrodnię.

Wszystkie te i tym podobne, dość liczne wystąpienia, ujmujące się za skrzywdzoną Polską, pozostają bez większego wpływu na posunięcia rządu niemieckiego. Kształtują jednak opinię społeczeństwa, które np. po upadku powstania listopadowego udziela pomocy przeciągającym przez Niemcy niedobitkom powstańczym. Demokratyczni politycy Welcker i Rotteck, historyk Raumer, wybitny uczeń Hegla Ganz, występują w licznych pismach o Sprawiedliwość dla Polski. Powstają nowe liczne wiersze o Polsce, drukowane w pismach ulotnych przez poetów takich jak Lenau, Platen, Kerner, Ortleb, Gross i wielu innych.

Gdy w maju 1832 roku siły postępowe z całych Niemiec urządzają demonstracyjny zjazd na zamku w Hambach w Bawarii, bierze udział również delegacja polska, entuzjastycznie witana przez tysiączne rzesze zebranych. Obok sztandaru niemieckiego zostaje na wieży zamkowej zatknięta chorągiew polska, witana burzą oklasków, a Polacy Grzymała i Zatwarnicki wzywają Niemców do podjęcia wspólnej walki.

Polityce oficjalnej Niemiec nadają jednak kierunek inne tendencje. W kilkanaście lat później cele więzień berlińskich są przepełnione demokratami polskimi z Mierosławskim na czele. Nie dopuszcza się do nich krewnych i znajomych. O widzenie siostry Mierosławskiego z bratem zwraca się właśnie Bettina Arnim w głośnym liście do króla pruskiego. W Anglii stowarzyszenie „Fraternal Democrats" urządza zebranie ku czci powstańców polskich 1830 — 31 roku. Wśród mówców są Marks i Engels, z których ostatni podkreśla niemiecki punkt widzenia tymi słowy: „My niemieccy demokraci mamy bowiem specjalne zainteresowanie w oswobodzeniu Polski. Niemieccy panujący wyciągnęli korzyści z podziału Polski, niemieccy żołnierze uciskają jeszcze teraz Galicję i Polskę. Nam Niemcom, przede wszystkim nam niemieckim demokratom musi zależeć na tym, aby tę plamę zmyć z naszego narodu. Naród nie może stać się wolnym i równocześnie nie zaprzestawać ciemiężenia innych narodów. Uwolnienie Niemiec nie może więc nastąpić, jeżeli nie nastąpi uwolnienie Polski od niemieckich ciemiężycieli. I dlatego Polska i Niemcy mają wspólny cel, i dlatego polscy i niemieccy demokraci muszą wspólnie pracować nad uwolnieniem obydwóch narodów".

Proces berliński przeciwko polskim więźniom ciągnął się długich pięć miesięcy i zakończył skazaniem stu dziewięciu oskarżonych na kary ciężkiego więzienia i twierdzy, a ośmiu oskarżonych na karę śmierci, zamienionej następnie na dożywotnie więzienie. Lud berliński w rewolucji marcowej 1848 roku uwolnił polskich więźniów i w triumfalnym pochodzie z Mierosławskim i Libeltem na czele poprowadził przed pałac królewski. Mierosławski i Libelt wygłosili płomienne mowy. Libelt wzywał „lud na świadka zbratania się Niemców i Polaków", a Mierosławski podarł zaimprowizowaną chorągiew polską, której strzępy przypinali sobie Niemcy na pamiątkę tej wzniosłej chwili zbratania się obu narodów.

Jak wiadomo reakcja szybko zapanowała nad sytuacją, opierając się nie tylko o koła feudalne ale korzystając z wydatnej pomocy niemieckiej burżuazji. Na Zgromadzeniu Narodowym w Frankfurcie nad Menem w dwa miesiące po wypadkach berlińskich siły reakcyjne zwyciężają, a nawet z obozu lewicy padają głosy, popierające ekspansję niemiecką. Wilhelm Jordan, jeden z byłych przywódców lewicy, zdradza dawne ideały i wzywa do „zdrowego egoizmu narodowego", który dobro i honor ojczyzny stawia ponad wszystko.

Radykalne siły południowych Niemiec jeszcze raz w maju i w czerwcu 1849 roku przeciwstawiają się siłom wstecznym. Jako wódz przybywa walczyć Mierosławski. Zwycięstwo odnosi reakcja i odtąd szerzy się nieprzerwanie w Niemczech polityka antypolska i eksterminacyjna. „Zdrowy egoizm narodowy", głoszony przez Jordana, zapanował wszechwładnie. Masy niemieckie patrzą wrogo na Polaków, przekonane o swej wyższości kulturalnej. Nacjonalistyczna nienawiść, szerzona przez Bismarcka, przez junkrów Wilhelma II, w czasach Republiki Weimarskiej, a wreszcie do zenitu doprowadzona przez hitleryzm, nie zna granic i nie spotyka się z żadnymi nawet najniklejszymi próbami publicznej krytyki.

Kto dziś w Niemczech wie o tym — pyta Kuczyński, — że nasi przodkowie patrzyli z poszanowaniem, podziwem i miłością na polskich bojowników o wolność? Kto w Niemczech ma jakiekolwiek wiadomości historyczne o tych przyjacielskich stosunkach wzajemnych obydwóch narodów w pierwszej połowie ostatniego stulecia? Rzadko który robotnik, rzadko który inteligent! I dzisiaj jeszcze nie jest inaczej!

W dzisiejszych czasach — pisze Kuczyński — Polacy doczekali się tego, że nie tylko klasy panujące w Niemczech — ale prawie cały naród niemiecki barbarzyński napadł na Polskę. Również i obecnie w chwili pisania tych uwag, rozbrzmiewają przeciwko nim z zachodu naszego kraju nowe okrzyki wojenne, jeszcze tysiąckrotnie wzmacniane przez amerykańskie głośniki.

Lecz coraz wyraźniejszymi stają się równocześnie głosy postępowych Niemców, którzy przeważnie nieświadomie, nawiązując do wielkiej tradycji niemieckiej przyjaźni do Polski, starają się stworzyć nowe stosunki pomiędzy demokratycznymi, pokojowymi Niemcami Wschodnimi, do których w przyszłości muszą się dołączyć takie same Niemcy Zachodnie, a Polską Demokracji Ludowej. My postępowi Niemcy pragniemy, aby nasze usiłowania znalazły uznanie również w Polsce i zyskały poparcie przez ożywioną wymianę wartości materialnych i kulturalnych.

Książka Bettiny Arnim wraz z przedmową prof. Kuczyńskiego wydana w przededniu dziesiątej rocznicy najazdu hitlerowskiego na Polskę, stanowi jak gdyby naukowo-literacką podbudowę wypowiedzi Niemieckiej Rady Ludowej w sprawie przyjaznych i dobrosąsiedzkich stosunków polsko-niemieckich i ma niewątpliwie duże znaczenie jako akt przeciwstawienia się rewizjonizmowi niemieckiemu rozpętywanemu w strefach zachodnich.

Stanisław Szenic

*) Bettina von Arnim und die Polen, Aufbau Verlag, Berlin, 1949, str. 72.

PRZEGLĄD PRASY

Goethe

Tyle narzekałem na jałowość numerów jubileuszowych, aż mnie spotkała zasłużona kara, powiedziałem sobie po przeczytaniu ostatniego numeru „Twórczości" złożonego w całości z materiałów goethowskich. Albo też — dodałem szybko, patrząc na numery innych pism literackich gdzie nazwisko wielkiego poety w ostatnim tygodniu było odmieniane przez wszystkie przypadki — albo też wyjątek potwierdza regułę. Numer 8 „Twórczości" jest niewątpliwie czymś zupełnie wyjątkowym wśród czasopism ostatnich miesięcy. Wszystkie prace tu zamieszczone są ciekawe, wszystkie — choć niektóre mają przeszło sto lat — mówią coś nowego i istotnego. Dla polskiego czytelnika, który Goethego nie zna i wie o nim mało, doskonałym wprowadzeniem są fragmenty z Johanna P. Eckermanna „Rozmów z Goethem". Nie jestem pewien, czy „Rozmowy" Eckermanna są zupełnie autentyczne, czy nie są przyprawione na użytek wielkości wielkiego i bez tego dodatku pisarza i humanisty. Nie to jest ważne. Czytelnik polski dzięki bardzo rozumnemu pomysłowi redakcji „Twórczości" zostaje odrazu wprowadzony w krąg goethowski przez Eckermanna. „Listy z podróży" Odyńca — wiemy to napewno — są apokryfem, wiemy o tym, gdy je czytamy, a przecie mimo wszystko, Odyniec potrafi nas wprowadzić w atmosferę owych lat, choćby już przez to, że dziś dokładnie widzimy nitki, którymi poczciwy tłumacz „Dziewicy Jeziora", szył zasłużony, pośmiertny płaszcz wielkości dla swojego przyjaciela. Podobne wrażenie czyni na mnie zawsze Eckermann. Fakty i teksty wypowiedzi Goethego są pewnie prawdziwe, ale czy prawdziwe są wszystkie wspaniałe pozy Goethego? Tego nie wiem, nie jestem tego pewny, a zresztą uważam, że jest to bez znaczenia. Dzięki Eckermannowi wchodzimy odrazu w olimpijski klimat weimarskiego domu. Chcę jeszcze powiedzieć, że Wilhelm Mach dokonał sztuki nielada, oddając staroświecką niemczyznę Eckermanna bardzo nieznacznie stylizowaną na staroświeckość polszczyzną.

Z kolei piękną lekturą jest przekład z Goethego „Essayu Diderota o malarstwie". Ten essay w którym Goethe tłumacząc z francuskiego na niemiecki Diderota sprzecza się z nim i dyskutuje o sztukach pięknych, jest arcydziełem sztuki polemicznej. Diderot broni zasady drogiej Encyklopedystom — zasady naczelności natury — i pragnie jej podporządkować malarstwo. Goethe rozróżnia sztukę człowieka, od pracy natury. Jest w tym wierny zasadzie, która nie przypisuje naturze żadnego rozsądku, obdarzając za to pełnym rozsądkiem i świadomością człowieka. Tu mała dygresja — w bardzo zwięzłym i potrzebnym komentarzu wstępnym, autorka przekładu wyjaśniając powody, które skłoniły Goethego do przekładu i polemiki z przełożonym przez siebie tekstem, mówiąc o Diderocie i o Goethem, określa ich (sprzeczność między nimi zachodzącą w materii sztuk plastycznych) jako „materialistę i idealistę". Otóż wydaje mi się, że sprowadzenie obu do tak uproszczonych mianowników nie jest słuszne. Nie ulega wątpliwości, że jako materialista został określony Diderot, wobec czego Goethemu przypadł by w udziale epitet „idealisty" — otóż to właśnie wydaje mi się nieco ułatwione. Ale mniejsza o drobiazgi. Czytając ten świetny essay węszyłem czy nie ma jakiegoś pomyślnego wiatru na żagle nowoczesnej problematyki. I znalazłem taki cytat: „Artysta winien być uczciwy wobec natury, lecz zarazem ma być uczciwy wobec sztuki. Najwierniejsze naśladowanie natury nie stworzy jeszcze dzieła sztuki, lecz (wolałbym tu — natomiast, byłoby logiczniej — przyp. mój) w dziele sztuki natura może zagasnąć niemal zupełnie, a jednak, mimo to, może ono (tj. dzieło sztuki — przyp. mój) zasługiwać na pochwałę". Dalej Goethe występuje w obronie umiejętności, czy jeśli kto woli warsztatu. Cytuję dla tych, którzy wślad za Kottem i Diderotem potępiają „warsztat": „...nie zaprzeczysz — polemizuje Goethe z Diderotem — że mistrz, akademia, szkoła i starożytność, czyli wszystko, co oskarżasz o to, że powoduje zmanierowanie, może równie dobrze, dzięki właściwej metodzie, rozpowszechniać prawdziwy styl, a nawet możnaby zapytać: jaki geniusz na świecie zdoła od razu, przez samo tylko oglądanie natury, bez tradycji, zdecydować się na proporcję, uchwycić właściwe kształty, wybrać odpowiedni styl i stworzyć sam dla siebie wszystko obejmującą metodę?". Zaiste, pomyślny wiatr wieje z tych zdań Goethego!

Georg Lukacs w essayu „Faust i Mefistofeles" analizuje zasadniczy konflikt „Fausta" niesłychanie precyzyjnie i wnikliwie, jak to czyni zawsze, czy to gdy pisze o Balzacu, czy to gdy demaskuje filozofię i estetykę Nietschego, czy to gdy wskazuje w sposób nowy dawne tradycje humanistyczne w „Faustusie" Tomasza Manna. Lukacs, jako marksista, zna oczywiście granice geniuszu Goethego i wie dobrze, że nie mogły one przekroczyć granic zakreślonych przez historię rozwoju stosunków międzyludzkich. Lukacs w zakończeniu stwierdza: „Obiektywnej, socjalnej siły, która by mogła pokonać Mefistofelesa na znanej Goethemu ziemi i wyzwolić ludzkość od diabolizmu, nie mógł on (Goethe — przyp. mój) widzieć i dlatego nie chciał jej nadać artystycznego kształtu".

O polonikach goethowskich pisze Zofia Ciechanowiecka. Pożyteczny to artykuł z którego wynika, że mimo wielokrotnie podejmowanych przekładów do tej chwili nie mamy właściwie dzieł Goethego po polsku. Rzeczą charakterystyczną dla ruchu wydawniczego w Polsce, a także świadectwem odwrotu od tradycji humanistycznej po roku 1918 jest fakt, że między rokiem 1800 i 1912 tłumaczyło Goethego 70 tłumaczów, 45 zaś autorów pisało w tym czasie o autorze „Fausta". Ilość przekładów — cytuję za Ciechanowiecką — wynosiła 300, ilość oddzielnych pozycji wydanych — 6. W okresie dwudziestolecia „Faust" był co prawda wydawany i przekładany na nowo. Ale zdaje się, że po lewenthalowskim tomie w „Bibliotece Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej" nie uczyniono u nas nigdy próby wydania większej antologii czy wyboru pism wielkiego poety. Tym pilniejsze byłoby to zadanie na dzień dzisiejszy!

Jan Białostocki zamieszcza obszerny artykuł „Goethe i plastyka". Interesująca lektura w zestawieniu z wypowiedziami samego Goethego w cytowanym już przeze mnie wyżej „Essayu".

Dwie pozycje oryginalne uzupełniają ten świetny numer „Twórczości". Wiersz Wygodzkiego i proza Aleksandra Wata — fragment z powieści „Ucieczka Lotha". Ten wyjątek z powieści o Niemcach i Niemczech wskazuje wyraźnie, że Wat przekracza zaczarowany krąg okupacyjnych wspomnień, w których występują hitlerowcy i stara się dać powieść o Niemczech hitlerowskich. Bardzo mnie interesuje ta powieść. Czytając fragment nie mogę się oprzeć wrażeniu, że patronują jej dwaj świetni niemieccy pisarze. Tomasz Mann, gdy mowa o stylu, Henryk Mann, gdy Wat wyprowadza na scenę swoich przed i prohitlerowskich niemieckich „bürgerów". Trzeba tu dodać, że Henryk Mann w doskonałym i nigdy zdaje się nie przełożonym na polski „Poddanym" stworzył znakomitą charakterystykę bürgera epoki wilhelmińskiej — już wtedy ostrzegając Niemcy i świat przed powstałą później straszliwą formą imperializmu niemieckiego. Patronat dwóch Mannów — może zresztą złudny — w moim przekonaniu niczego naturalnie nie odbiera tej pięknej prozie, która — dla mnie — zapowiada jedną z najciekawszych polskich powieści, może nie tylko po tej wojnie.

Wreszcie na sam koniec chciałem jeszcze zwrócić uwagę czytelników na nowego i jak mi się zdaje bardzo inteligentnego recenzenta teatralnego, który potrafi mówić o sztukach i jak literat, i jak człowiek teatru — zaleta rzadka i ważna, kiedy o teatrze się pisze. Krzysztof Puzyna daje w zakończeniu numeru goethowskiego sumienne, obszerne sprawozdanie z działalności ważniejszych teatrów w Polsce w ciągu ostatniego sezonu.

ph.

KORESPONDENCJA

Jarosław Iwaszkiewicz i miesięcznik „Esprit"

Szanowny Obywatelu Redaktorze!

W numerze 36 „Kuźnicy", datowanym z dnia 11 września 1949 r., ukazała się nota pt. „Bałamuctwa", która jest przyczyną niniejszego sprostowania.

Jestem tłumaczem na język francuski „Młynu nad Lutynią" Jarosława Iwaszkiewicza, i, jak można by sądzić z pozorów, autorem także tej bzdurnej notatki biograficznej o nim. Aczkolwiek tylko z pozorów. Nie tylko tej notatki nie redagowałem, ale nawet nic o niej nie wiedziałem. Robiąc korektę „Młynu nad Lutynią" bez najmniejszej trudności poprawiłbym i to, ale na arkuszach korektorskich żadnej takiej notatki nie było, i widocznie w ostatniej chwili ktoś z redakcji „Esprit" na prędce ją dopisał.

Sam żadnej tego rodzaju notatki nie redagowałem, uważając, że po trzech książkach wydanych we Francji, licznych tłumaczeniach jakie się w pismach francuskich ukazały, Iwaszkiewicz nie potrzebuje już być publiczności francuskiej przedstawiany. Notatka ta jednak jest jeszcze jednym dowodem twierdzenia, że często pod latarnią (w tym wypadku w redakcji „Esprit") bywa najciemniej.

Zwróciłem się natychmiast po ukazaniu się tłumaczenia do redakcji „Esprit", z prośbą o zamieszczenie sprostowania i jestem przekonany, że we wrześniowym numerze „Esprit", który ukazał się prawdopodobnie jednocześnie z 36 numerem „Kuźnicy", sprostowanie takie się ukazało.

Z poważaniem

Jerzy Lisowski

SPROSTOWANIE

Do Redaktora „Kuźnicy"

Proszę uprzejmie o sprostowanie błędu, który zakradł się do mego artykułu o Goethem w 34 numerze Waszego pisma. Datą pamiętnych słów Goethego, wypowiedzianych w przeddzień kanonady pod Valmy, jest rok 1792, a nie — jak omyłkowo wydrukowano — 1824. Dziękując za sprostowanie omyłki pozostaję z szacunkiem.

Roman Karst

Noty

Ruch naukowy w USA

Na uniwersytetach amerykańskich panuje wielkie ożywienie i ruch, który ogarnął wszystkie dziedziny wiedzy. Nie chodzi tutaj o jakieś nowe odkrycia i wynalazki naukowe — na to nie ma obecnie czasu — ale o „czystość" amerykańskiej nauki i ustrzeżenie jej przed zgubnymi wpływami demokratycznymi. Każda uczelnia wprowadza uroczyste przysięgi, które winni składać profesorowie, o ile nie chcą utracić posady i możliwości nauczania. Tekst tych zaklęć jest różny i przeważnie zależy od pomysłowości przemysłowców i bogatych kupców, którzy zasilają kasę uniwersytecką pokaźnymi dotacjami. „Ja płacę, ja wymagam" — oto dewiza protektorów uniwersyteckich. Tak więc rada nadzorcza uniwersytetu w Kalifornii zażądała od wszystkich wykładowców złożenia przysięgi, że „nigdy nie popierali ani też nie wierzyli w cele organizacji, która dąży do przewrotu społecznego". Jeszcze bardziej zagalopował się parlament stanu Illinois, który zażądał usunięcia studentów odmawiających złożenia antykomunistycznej deklaracji Komisja parlamentarna domagała się również cofnięcia ulg podatkowych dla uniwersytetów, które tolerują jakiekolwiek „niebezpieczne grupy".

Jeden z mecenasów słynnego Uniwersytetu Harvardskiego, Frank B. Ober zagroził cofnięciem subsydiów, jeśli nie zostaną podjęte „drastyczne kroki" w celu usunięcia z uczelni „nielojalnych" wykładowców. Przyczyną tego był profesor astronomii Shapley, który zasiadał w prezydium Kongresu Pokoju w Nowym Jorku. Zażądano również przeprowadzenia ideologicznej rewizji wszystkich podręczników uniwersyteckich. Tak więc fabrykanci konserw mięsnych i gumy do żucia będą sprawdzali dzieła naukowe z zakresu astronomii i asyriologii. Słowem, nauka przeżywa rozkwit w Stanach Zjednoczonych.

lk

Atomowe symptomy

Produkcja energii atomowej jest doskonałym interesem i przynosi olbrzymie zyski amerykańskim przemysłowcom. Miliony trupów, o których marzą podżegacze wojenni, już teraz kapitalizują się w milionach dolarów. Machina atomowa jest skomplikowanym mechanizmem, który z jednej strony wyrzuca brzęczącą monetę, z drugiej zaś zatrute miazmaty śmierci. Maszyna musi być jednak w ciągłym ruchu i ciągle naoliwiana, w przeciwnym razie może stanąć. Nic więc dziwnego, że przedsiębiorcy atomowi dokładają wszelkich starań, aby przy pomocy wszystkich dostępnych środków spopularyzować bombę atomową i uczynić z niej niezbędny składnik życia codziennego. Chodzi po prostu o stworzenie „stylu atomowego", pewnego rodzaju obyczajowości atomowej, nowego sposobu myślenia. Ten proces możemy już obserwować w życiu codziennym Ameryki. Charakterystyczna jest pod tym względem notatka w „Readers Digest" o następującej treści:

„Motyw bomby atomowej jest bardzo popularny we wszystkich dziedzinach mody. Szczególne triumfy święci bomba atomowa na męskich krawatach. Ostatnim krzykiem mody są krawaty ręcznie malowane, wyobrażające eksplozję bomby atomowej na Bikini. Podobne wzory zdobią wieczorowe suknie pań, a nawet bieliznę damską".

Ekscentryczność? Nie, chyba coś więcej. Ta makabryczna moda jest bardzo ponurym symptomem.

is

Teoria i praktyka

Jeden z największych dzienników amerykańskich, zbliżony do Departamentu Stanu, „New York Times", który bardzo chętnie rozpisuje się na temat demokracji, złożył ostatnio interesujący dowód swobody słowa. Pismo wysłało niedawno

Aslana Humbaracci jako specjalnego korespondenta do Turcji, którą Stany Zjednoczone opiekują się bardzo tkliwie w ostatnich czasach. Mr Humbaracci miał dostarczać wiadomości na użytek antykomunistycznej propagandy, nie licząc się z prawdą i faktami. Gazeta miała jednak pecha, gdyż natrafiła na uczciwego człowieka, który nie umiał kłamać. Korespondencje dziennikarza opisywały złodziejstwa i oszukańcze afery rządu tureckiego, nędzę chłopów i przekupstwa administracji państwowej. „Ostoja demokracji" jak — Truman zwykł określać Turcję — niezbyt ponętnie rysowała się w felietonach amerykańskiego korespondenta, nic więc dziwnego, że ani jeden artykuł Aslana Humbaracci nie ukazał się w „New York Times". W końcu dziennikarz otrzymał wypowiedzenie z dziennika i został wydalony z Turcji.

rk.

Kolportaż

Sprawa jest właściwie przebrzmiała, bo okres urlopowy minął. Ale przebrzmiała — do czasu. Rzecz bowiem dzieje się nie pierwszy rok i — niestety — zachodzą obawy, że na rok przyszły będzie znowu aktualna. Chodzi o kolportaż czasopism literackich w miejscowościach uzdrowiskowych, letniskowych i turystycznych.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Ustronie Morskie zimą kupuje 1 numer „Kuźnicy" a Świeradów-Zdrój 5 numerów. W sezonie rzecz się jednak zmienia i z tym już od czerwca powinny liczyć się placówki kolportażowe. Tymczasem czytelnicy pisma naszego po powrocie z urlopu zgodnie stwierdzają, że nabycie numerów „Kuźnicy" (to samo, choć w mniejszym stopniu dotyczy „Odrodzenia") w miejscowościach typu wyżej wymionych było latem bardzo utrudnione, zwłaszcza w pierwszym miesiącu — lipcu. Później gdzie niegdzie (np. w znanym piszącemu te słowa Ustroniu Morskim) nastąpiła poprawa, co wskazuje na to, że po pewnym czasie „zorientowano się", iż rozdzielnik na okres wakacyjny należy zmienić. Ale przecież rzecz tego rodzaju da się przewidzieć z góry. Czyby za tym nie warto było sprawy tej sobie odnotować i zorganizować w roku przyszłym jak należy zawczasu?

rdc

Względy dla specjalistów czyli łopatologia Kisiela

Od pewnego czasu autor felietonów „Tygodnika Powszechnego" uderzył w ton powagi i usiłuje wyłożyć nam pewne prawdy „łopatą do głowy". Metoda ta również i naszym zdaniem jest cenna i sami chętnie ją stosujemy. Warunkiem jej skuteczności jest jednak wykładanie owych prawd w sposób istotnie przekonywujący, co niestety Kisielowi zdarza się rzadko.

W ostatnim numerze Tygodnika znajdujemy „łopatologiczny" traktat Kisiela o „względach dla specjalistów", gdzie, po wyczerpującym scharakteryzowaniu właściwości „cudaków", zwanych specjalistami — bądź w dziedzinie nauki, bądź sztuki (obrona „ciasnoty" specjalistów z całym historycznym arsenałem przykładów: Kanta, który przez całe życie nie wyjeżdżał z Królewca, Prousta, co nie wychodził z ciemnego pokoju pisząc swe dzieła — stanowi wstęp do dalszych wywodów) — autor dokonywa niezwykłego odkrycia Ameryki, iż „domagać się od specjalisty, aby swój światopogląd wyraził nie poezją, muzyką czy architekturą (względnie wogóle innymi środkami, niż wchodzące w zakres jego własnej specjalności — przyp. nasz) lecz właśnie inaczej, to domagać się od niego, aby przestał być sobą".

Ogarnia nas zdumienie. Jak to? Więc są na świecie tacy co nie rozumieją tej prostej prawdy? Gdzie ich Kisiel znalazł? Czy może u nas w Polsce? Czy może to u nas każe ktoś artystom czy uczonym pracować w innej dziedzinie, niż dziedzina ich specjalności? Czyżby istniała tajemnicza siła zmuszająca Panufnika do pisania wstępniaków dla „Trybuny Ludu"? A może Sigalina lub Pniewskiego zasadzono do komponowania mazurków na cześć Trasy W — Z? Inaczej mówiąc, mamy ochotę zapytać Kisiela „z czym do gościa?".

Aliści — jak wynika z dalszych wywodów felietonisty „Tygodnika Powszechnego" — nie w tym sęk. Żeby „ciaśni" specjaliści nie przestali być sobą, należy „dla dobra społeczeństwa... pozwolić im pracować w „wieżach z kości słoniowej". „Są to, jak twierdzi Kisiel, tylko pozornie elitarne wieże z kości słoniowej", w istocie zaś „najpotrzebniejsze społecznie laboratoria twórcze, laboratoria, w których decyduje się sprawa rozwoju twórczości i pracy społeczeństwa", „w których ogniskuje się energetyczne napięcie twórczych możliwości narodu".

„To, jak świat jutrzejszy wyglądać będzie, rozstrzyga się dziś przy kilku nielicznych biurkach pisarskich świata. Zawsze tak bywało, iż przyszłą fizjognomię społeczeństwa kształtowali w zaciszu swych pracowni poszczególni myśliciele — często nawet nie przeczuwając jak brzemienne przeznaczeniem jest to, co czynią" — cytuje Kisiel triumfalnie niemieckiego ekonomistę Wilhelma Röpke. „To nie jest „rozwichrzony indywidualizm" — to poprostu zrozumienie „roli jednostki w historii" — dodaje od siebie.

Hm... zastanówmy się chwilę. Jak to ślicznie Kisiel połączył „rolę jednostki" z „wieżą z kości słoniowej". Czyżbyśmy naprawdę mieli tu do czynienia z wykładem prostych i jasnych prawd „łopatą do głowy"? Czy felieton Kisiela nie stanowi przypadkiem perfidnego pomieszania oczywistych truizmów z tezami o bardzo niedwuznacznych intencjach? Bo jeżeli niewątpliwy i oczywiście słuszny jest postulat swobody pracy twórczej, to dziwnym wydaje się, że Kisiel nie zauważył równie niewątpliwego i oczywistego faktu, że właśnie socjalizm i tylko socjalizm umiał dotychczas warunki tej swobody twórcom zapewnić. Jeżeli natomiast chodzi o „zacisze pracowni", owe „nieprzeczuwane", „brzemienne przeznaczenia" i błogosławioną „ciasnotę" („persona twórcy — pisze Kisiel — jest jedynie narzędziem czy pośrednikiem, jak przewodnik elektryczny jest, według pięknego porównania Krasińskiego, naczyniem, przez które przepływa strumień piękności") — to w głoszonej przez Kisiela apologii tego stanu rzeczy kryje się przecież stara, wypróbowana, reakcyjna metoda odnoszenia się do zagadnień sztuki i nauki. Nie ulega wątpliwości, iż są, i to nawet często (na prymitywnym szczeblu rozwoju sztuki stanowi to regułę) wypadki osiągnięć artystycznych, do których świadomość twórcy nie dorasta. Bywa podobnie, choć w mniejszym zakresie i w nauce: znaną kartę dziejów stanowią spryciarze, wykorzystujący np. odkrycia wynalazców. Ale cóż z tego? Pamiętamy dobrze, kiedy to państwo świadomie posługiwało się nauką, zamkniętą w „zacisznych pracowniach". Wiemy co znaczył postulat „specjalizacji" w nomenklaturze ideologii faszystowskich. Wiemy, komu zawsze zależało i zależy na utrzymaniu owego błogosławionego stanu niewiedzy i zamknięcia się w „wieży z kości słoniowej" artystów i uczonych, i znamy dobrze, nie od dzisiaj, stosowane w tym wypadku argumenty.

Do wypróbowanego gatunku tego rodzaju argumentów elitarystycznych należy także podjęta przez Kisiela próba obrony niezrozumiałości, utożsamionej z trudnością zagadnienia. Postawieniem znaku równości między sztuką czy wiedzą zrozumiałą a łatwizną, Kisiel nam oczu nie zamydli. Wiadomo, że nikt dziś w Polsce nie walczy z niezrozumiałością rzeczy, które nakładem intelektualnego wysiłku zrozumieć można i należy. Walczy się natomiast z takimi przejawami sztuki, które temu, komu na tym zależy, pozwalają bronić tezy o zasadniczej niepoznawalności świata, pogłębiają przekonanie o jego rzekomym irracjonaliźmie i o tym, że postawą najgodniejszą uczonego czy artysty jest odsunięcie się od wszystkiego, co nie dotyczy bezpośrednio jego specjalności. Skutki takiego odsunięcia nie długo dają na siebie czekać. Czyżby Kisiel o tym nie pamiętał?

Kisiel pisze: „Związek Kompozytorów Polskich liczy 70 członków, lecz pośród nich jest zaledwie czterech czy pięciu, od których naprawdę zależą losy polskiej muzyki. To rzadka zwierzyna i musi być chroniona. Wszyscy inni muszą, to jasne, wypełniać zamówienie społeczne, pisać rzeczy potrzebne dla upowszechnienia muzyki, dla różnych konkretnych celów. Tych czterech czy pięciu natomiast powinno mieć na swoje arcyważne doświadczenia czas, należy im się kredyt i co więcej — zaufanie".

Kisiel dzieli sztukę na dwie części: prawdziwą przez duże S, którą tworzy kilku specjalistów (od nich „zależą losy polskiej muzyki") i taką, która powstaje jako skutek zamówienia społecznego i którą powinni uprawiać wszyscy inni. Przeprowadzając taki podział Kisiel dowodzi, że istoty problemu zamówienia społecznego nie rozumie. Sztuka, podobnie jak owa jedność zasady porządkującej rzeczywistość, o której Kisiel pisze i którą — jak twierdzi — uznaje, nie da się podzielić na dwie niezależne od siebie części. Nie czterech ale 70-ciu kompozytorów będzie w Polsce korzystało z absolutnej swobody tworzenia i będzie cieszyło się najpełniejszym zaufaniem w swych eksperymentach twórczych. Nie znaczy to, abyśmy nie mieli domagać się od nich jasnej i świadomej postawy artystycznej, będącej równocześnie postawą ideową. Te rzeczy również oddzielić się od siebie nie dadzą. W interesie pomyślnych rezultatów własnego wysiłku twórczego również i tych czterech powinno czuć i wiedzieć poco tworzy i dla kogo. Artysta - cudak, nieświadome medium, podobnie jak uczony-narzędzie, maszynka do prac laboratoryjnych — to zjawisko antyhumanistyczne, upokarzające i degradujące rolę sztuki i nauki, prowadzące do podporządkowania ich celom jak najbardziej niebezpiecznym dla ludzkości. Granicą względów jakie należą się specjalistom są bowiem względy jakie nauka i sztuka winna jest źródłu swoich powołań — człowiekowi.

Prostaczek

TREŚĆ Nr 36

Włodzimierz Sokorski — Ku realizmowi socjalistycznemu w muzyce; **George Chandes Bidwell** — Oblicze szkolnictwa angielskiego; **Roman Kołoniecki** — Mazowsze; **Jalu Kurek** — Elegia na śmierć drzewa; **Ryszard Matuszewski** — Próba humanizmu socjalistycznego; **Kandyd** — Spacer nad Wisłą; **Jan Kott** — Narodziny powieści albo o Danielu Defoe I kupiec angielski; **Stanisław Wygodzki** — Czy napiszę powieść? **Janina Preger** — O poezji Włodzimierza Słobodnika; Na półkach księgarskich; **Korespondencja; Przegląd Prasy; Noty.**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80. w. 45 Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-83577